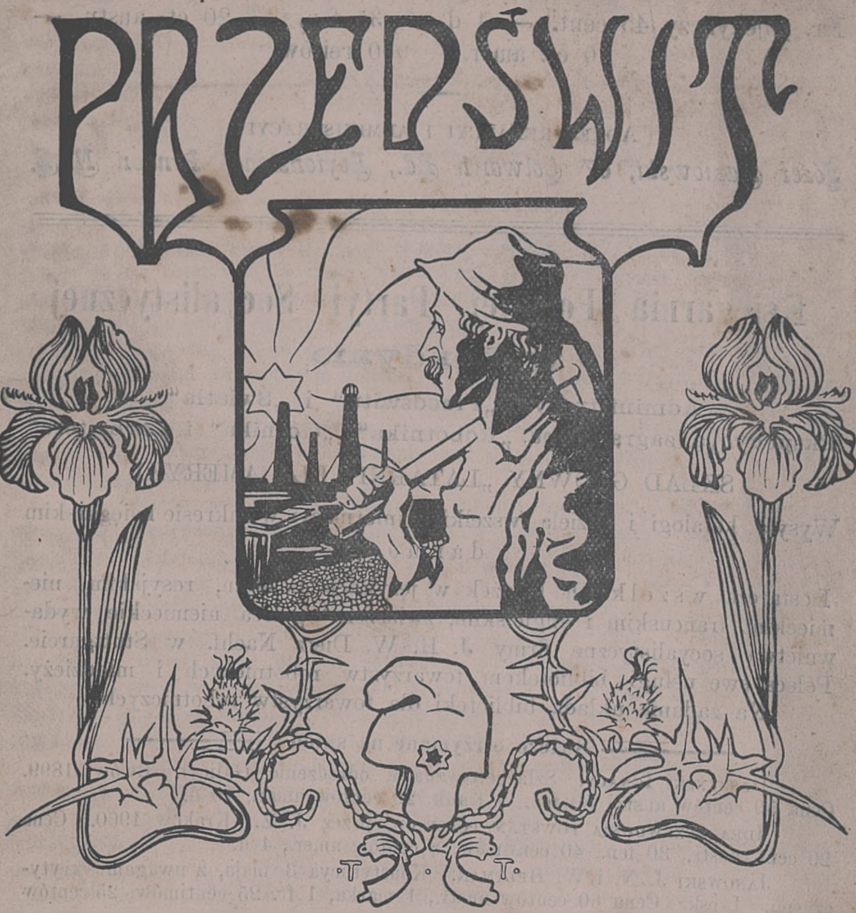
Nr. 9. Wrzesień 1900. Rok XX.

PRZEDŚWIT



MIESIĘCZNIK POLITYCZNO-SPOŁECZNY

ORGAN POLSKIEJ PARTYI SOCYALISTYCZNEJ

LONDYN

Z drukarni Polskiej Partyi Socyalistycznej

Warunki prenumeraty:

5 fr. — 4 sh. — 4 m. — 2 złr. 40 ct. (w kopercie 4 złr.) — 1 dol. — 10 milreisów — rocznie.

Nr. pojedyńczy 45 cent. — 4 d. — 35 fen. — 20 ct. austr. — 10 ct. amer. — 900 reisów.

ADRES REDAKCYI I ADMINISTRACYI:

Józef Kaniowski, 67 Colworth Rd., Leytonstone, London N. E.

Nr. 9. Wrzesień 1900. Rok XX.

PRZEDŚWIT

WOBEC WYBORÓW

Skołatana nawa austryackiego życia politycznego znowu osiadła na mieliźnie. Znikły wszelkie nadzieje, że targany wściekłą obstrukcyą parlament wiedeński da się skierować na drogę pozytywnej pracy ustawodawczej. Nierozważna polityka Badeniego wysunęła na plan pierwszy nieprzejednaną walkę czechów z niemcami, topiącą w wirach szowinizmu normalny rozwój, dobrobyt i przyszłość państwa. Nie udało się skierować parlamentu na tory reform społeczno-ekonomicznych, których rozpaczliwie domagają się miliony ludności pracującej, upadającej w ciężkiej walce o byt, przytłaczanej coraz to nowymi ciężarami. Nie udało się zażegnać widma obstrukcyi w drodze intryg zakulisowych, zapomocą targów z poszczególnemi stronnictwami, rząd więc musiał szukać innego wyjścia z tragicznego wprost położenia.

Co prawda, nikt, znający Austryę i jej „mężów stanu", nie przypuszczał, ażeby rząd austryacki chwycił się środka, który jedynie mógłby uśmierzyć burzę narodowościową i ująć ją w karby normalnego, prawidłowo rozwijającego się procesu dziejowego. Nikt nie przypuszczał, że rząd powoła szerokie masy ludów do rozstrzygania spraw, najbardziej właśnie te masy obchodzących, że jednem słowem zaprowadzi powszechne głosowanie. Wiadomem było, że minister Körber będzie wolał uciec się do półśrodka, odsuwającego burze parlamentarne o kilka miesięcy w przyszłość, ale nie zmieniającego ogólnego położenia ani na jotę. I istotnie — nastąpiło rozwiązanie parlamentu i rozpisanie nowych wyborów na podstawie dawnego prawa wyborczego.

W grudniu i styczniu odbędą się więc wybory we wszystkich prowincyach Austryi, a wyniki tych wyborów już dzisiaj dadzą się przewidzieć. Te żywioły, które stały na zawadzie prawidłowemu tokowi obrad parlamentarnych, wejdą do nowej Izby nie tylko nie osłabione, ale nawet wzmocnione. Jeśli jakie grupy poselskie powrócą do parlamentu uszczuplone, to właśnie te, na których rząd z ufnością może się opierać. Nowy więc parlament będzie radykalniejszym od dawnego i po zebraniu się Izby rząd znajdzie się w tem samem rozpaczliwem położeniu, co i dawniej, tak samo będzie musiał wynajdywać środki i sposoby unormowania życia politycznego. Być może, że dopiero wówczas zrozumie, co trzeba uczynić. Austrya jest takim „krajem nieprawdopodobieństw", że nawet jakiś do pewnego stopnia rozsądny krok jej rządu (w rodzaju oktrojowania powszechnych wyborów dla znacznej części posłów, o czem się obecnie mówi) nie jest wykluczony.

Do tego jednak dość jeszcze daleko. Na razie warto się zastanowić nad tem, co nam przyniosą świeżo rozpisane wybory.

Nie minęło jeszcze trzech lat od ostatnich wyborów do parlamentu austryackiego, kiedy to po raz pierwszy i proletaryat polski wysłał do Wiednia swych przedstawicieli, a jakie potężne zmiany zaszły w ustosunkowaniu się życia politycznego w Galicyi! Twierdza wszechpotęgi stańczykowskiej, która podówczas zaledwie rysować się poczynała, dziś chwieje się i grozi zawaleniem. Obok mas robotniczych i chłopskich przeciwko władzy stańczykowskiej buntują

się dziś najpotulniejsze żywioły — demokraci miejscy, a dogmat „solidarności Koła“, w r. 1897 jeszcze za świętość niemal uważany, dziś stał się pośmiewiskiem ogółu. Kiedy niewstąpienie w r. 1897 do „Koła“ posłów robotniczych i chłopskich wywołało zgorszenie nawet wśród uczciwych i demokratycznie usposobionych żywiołów, to dziś zerwanie wszelkich związków z „Kołem“ stało się jednem z najbardziej popularnych haseł Jak kraj długi i szeroki, brzmi okrzyk: „precz z gospodarką stańczyków, precz z korupcyą, precz z gwałtem!“, a szlachta widzi, że zbliża się kres jej rządów i wytęża wszystkie siły, ażeby bodaj przedłużyć swoją agonię.

Możemy być pewni, że klika stańczykowska nie zaniedba nic, by uratować resztki swego gwałtem zdobytego „stanu posiadania“ po za kuryą wielkiej posiadłości ziemskiej. Intryguje więc w sferach chwiejnej jeszcze demokracyi miejskiej, wchodzi w konszachty ze Stojałowskim, straszy żydów rozruchami antysemickimi, do których świadomie zupełnie podjudza najciemniejsze warstwy ludu, a zarazem szykuje zwykły swój arsenał wyborczy: przekupstwo, gwałty władz administracyjnych, teroryzm z ambony itd. Nie napróżno chyba niemieckie pisma klerykalne zapewniają, że w Galicyi „naturalnie“ krew popłynie...

Walka wyborcza w zaborze austryackim będzie zacięta, nieubłagana, bo chodzi tu już nie o urwanie jakichś paru mandatów stańczykom, ale o zupełne wyparcie władzy stańczykowskiej z powszechnej, wiejskiej i miejskiej kuryi wyborczych, o zreformowanie całego życia politycznego Galicyi, o przesunięcie punktu ciężkości tego życia na lewo, o przyznanie nareszcie głosu tym, którzy dotychczas byli o mało czemś większem od zera.

W walce tej naszym towarzyszom galicyjskim przypadła zaszczytna rola w udziale. Oni to głównie przyczynili się swoją pracą niezmordowaną do tego napięcia wszystkich sił opozycyjnych, jakie dziś obserwujemy w Galicyi. Oni potrafili się wybić na stanowisko naczelne w obozie opozycyjnym, zmusili wszystkie uczciwe żywioły do poddania się wpływom czynnej polityki socyalistycznej, do szanowania socyalistów, do uznania ich za żywioł, mający prawo przemawiania w imieniu narodu.

Kiedy w r. 1897 obawialiśmy się jeszcze, że socyaliści mogą ani jednej trybuny parlamentarnej nie zdobyć, to dziś z zupełną otuchą oczekujemy grudnia, w którym rozstrzygną się losy kandydatów naszych*). Towarzysze galicyjscy i śląscy rozpoczęli już energiczną agitacyę przedwyborczą, od pomocy ogółu socyalistów polskich zależeć będzie, czy w przyszłym parlamencie wiedeńskim ma być więcej niż dotychczas posłów naszych...

St. Os...arz.

---

*) Kandydaci socyalistyczni: *Kurya V:* Lwów — J. Hudec; Kraków — I. Daszyński; Wadowice-Biała — I. Serkowski; Nowy Sacz -- L. Misiołek; Tarnów — F. Sułczewski; Jarosław — J. Schiffler; Przemyśl — Dr. M. Hankiewicz; Cieszyn — P. Cingr. *Kurya IV:* Jarosław — P. Nowakowski; Przemyśl — Dr. R. Jarosiewicz. *Kurya III:* Lwów — K. Mokłowski; Nowy Sącz-Biała-Wieliczka —Dr. A Lehman; Przemyśl-Gródek — Dr. H. Lieberman; Kołomyja-Buczacz Śniatyn — Dr. S. Schorr.

Wybory odbędą się w Galicyi 13 grudnia (kurya powszechna), 17 (k. wiejska), 20 (k. miejska), 10 stycznia (k. izb handlowych i przemysłowych), 15 (k. wielkiej posiadłości). Na Śląsku piąta kurya wybiera 3 stycznia, wiejska miejska i izb handlowyc przemysłowych11, a wielkiej posiadłości 14.

Luźne uwagi o maximum i minimum

Najbardziej powszechnem niedomaganiem dzisiejszych publicystów socyalistycznych jest chorowanie na tak zwaną „naukowość". Objawia się to w rozmaityj sposób: np. za „ostatnie słowo wiedzy" ogłasza się pogląd słuszny, lecz bardzo nieskomplikowany, iż *dziś* zachodnio-europejscy socyaliści nie powinni zajmować się organizowaniem wybuchów rewolucyjnych, tak samo zwyczajny subjektywny sceptycyzm co do szans mniej lub więcej blizkiego zwycięstwa proletaryatu chrzci się mianem „naukowego" oceniania wypadków itp...

Naukowość socyalizmu dzisiejszego nie jest wcale wyłączną właściwością tego ruchu społeczno-politycznego. I w dawnych ruchach „przewrotowych" widzimy to samo zjawisko: każdy poważny prąd dziejowy znajdował odpowiedni wyraz teoretyczny. Praktyka partyjna na takiem małżeństwie z nauką zwykle zyskuje. Zwłaszcza zaś doniosłym dla partyi socyalistycznych nabytkiem jest naukowe uzasadnienie naszych dążeń i oświetlenie dzisiejszej rzeczywistości, jakie nam dały prace Marksa i marksistów. Jednak chęć naukowego sformułowania każdego kroku partyi, każdego najdrobniejszego nawet szczegółu roboty naszej może nas doprowadzić do takich śmiesznostek, jak wyżej przytoczone. Do śmiesznostek też — mojem zdaniem — należy opieranie tak zwanego „programu minimum" na „fakcie stopniowości wszelkich naturalnych procesów i przekształceń, zarówno fizycznych i biologicznych, jak i społecznych", jak to czyni tow. Luśnia w swym artykule „Ostatnie nieporozumienie" w Nr 7 „Przedświtu".

We wszystkich prawie dzisiejszych programach socyalistycznych znajdujemy dwie części. Pierwsza część zawiera zwykle krytykę dzisiejszego porządku rzeczy z punktu widzenia pewnych ogólnych zasad sprawiedliwości społecznej, z punktu widzenia interesów proletaryatu i wogóle klas pracujących; w tej części też zazwyczaj mówi się o siłach społecznych, na których partya się opiera, a zatem i o widokach zwycięstwa dla partyi. W tej też części nieraz (jednak nie w programie P. P. S.) sformułowane jest to dążenie nasze, które nas najbardziej różni od stronnictw burżuazyjnych, tj. upaństwowienie produkcyi i wymiany w rękach republiki demokratycznej. Druga część programów socyalistycznych zawiera natomiast szereg *punktów*, streszczających konkretnie poszczególne dążenia partyi. Podług trafnego określenia tow. Luśni, każdy z tych punktów zawiera „jedną ze stron, z cech ideału socyalistycznego". W ten sposób druga część jest tylko jakby analizą, wyprowadzeniem *konkretnych* wniosków z pierwszej. Negacyi dzisiejszych porządków zawartej w pierwszej części, w drugiej przeciwstawia się pozytywne dążenia socyalizmu. Abstrakcyjne zasady sprawiedliwości społecznej, datujące się z końca XVIII wieku, lecz oświetlone klasowo-proletaryacką krytyką teraźniejszości, zawarte w pierwszej części, dopiero w drugiej znajdują konkretny swój wyraz. Tak więc druga część jest tylko koniecznem dopełnieniem i rozwinięciem pierwszej. Skąd że pochodzi mniemanie o zasadniczej, niemal jakościowej róznicy między dwiema częściami? Skąd rozróżnianie pierwszej — rzekomo maksymalnej — części programów naszych od drugiej — jakoby minimalnej? Skąd ten sam Luśnia, który słusznie mówi o sztuczności „kopania przepaści między programem maksymalnym i minimalnym", o sztuczności — a właściwie bezcelowości — „umieszczania różnych żądań za tą lub ową przegródką", skąd on sam jednak tak szeroko rozwodzi się nad odrębnościami tych dwóch części programu, skąd uzasadnienia dla specyalnego programu „minimum" szuka aż w dziedzinie zjawisk fizycznych i biologicznych?

Przyjrzyjmy się określeniom „maximum" i „minimum" u tow. Luśni.

„Maximum" socyalistyczne, według naszego towarzysza, to *ustrój*, „w którymby za jak najmniejszą ilość pracy... ludzie otrzymywali jak największą ilość

dóbr, w którym panowałaby tak wielka równość i wolność jednostek i narodów, a jednocześnie tak wielka między nimi współzależność i harmonia, jak tylko sobie wyobrazić można". Jednem słowem „Schlaraffenland", do którego — co najważniejsza — szczerze wzdychać może *każdy* „idealnie" usposobiony człowiek *bez różnicy klasy i stronnictwa społecznego.* Ba! Pierwsza z cech tego ideału (jak największa wytwórczość pracy) — gdybyśmy ją wyodrębnili — byłaby po prostu kwintesencyą pożądań manchesteryzmu, a druga cecha *(jak największa* wolność. równość i harmonia) również nie stoi w żadnej sprzeczności z nadziejami np. Bastiata. Na ideał, zaczerpnięty przez Luśnię z „Manifestu Komunistycznego" (przypisek na str. 11 Nr. 7 „Przedświtu"), również zgodziłby się każdy „człowiek XIX wieku". Tak więc to, co ma być „maximum" socyalizmu, to, co ma stanowić najbardziej socyalistyczną część naszego programu, jest ogólnikiem, na który gotów jest pisać się *każdy* człowiek dobrej woli.

Właściwy sens, istotne znaczenie tych ogólników ujawnia się nam dopiero wtedy, gdy przechodzimy do owego niby skromnego „minimum". Dopiero z punktów rzekomo „minimalnych" dowiadujemy się, czego właściwie chcą socyaliści. Coprawda wiele z tych punktów mamy wspólne z innemi stronnictwami. Nawet „uspołecznienie środków produkcyi i komunikacyi" nie stanowi niepodzielnej „prywatnej własności" naszej partyi: upaństwowienie ziemi zawarte jest w „newcastle'skim" programie angielskich liberałów, upaństwowienie kolei jest ideałem rządu rosyjskiego, po części już urzeczywistnionym „ideałem". Właściwie socyalistycznym program nasz jest tylko jako *całość* organiczna; dzielić ten pro gram — znaczy niszczyć go. Zabójczem dlań byłoby i dzielenie na „minimum" i „maximum", gdyby je praktykowano w życiu politycznem, nie zaś w oderwanych od życia książkach i artykułach Urzeczywistnienie dziś któregokolwiek z poszczególnych punktów programu P. P. S., oddzielnie — albo jest logiczną a tembardziej fizyczną niemożliwością, albo byłoby czczą farsą, albo — jako wręcz sprzeczne ze wszystkiemi naszemi dążeniami musiałoby być przez nas jak najostrzej zwalczane (np. §. 7 naszego programu, którego urzeczywistnienie dziś oddałoby dzieci nasze całkowicie na pastwę molocha moskiewskiego; §. 8, który wzmocniłby finanse zwalczanego przez nas państwa; tu również należą wszelkie upaństwowienia, będące niby częściowem urzeczywistnieniem naszego programu, a w istocie tylko kolosalnie utrwalające i rozwijające wrogą nam potęgę).

Należy tu jednak poczynić pewne ważne zastrzeżenia. Przedewszystkiem wyjątek z tego, cośmy mówili o niepodzielności naszego programu, stanowi — prawodawstwo ochronne pracy. Niema dziś już *prawie* żadnego państwa nowożytnego, w któremby w mniej lub więcej bliskiej przyszłości te lub owe żądania z tej dziedziny — w zasadzie nawet wszystkie te żądania — nie mogły liczyć na urzeczywistnienie z pożytkiem dla klasy robotniczej i dla ruchu naszego, jeśli się położy na nie specyalny nacisk i w ten sposób poniekąd je wyodrębni z całości programu. Mówimy „*prawie* żadnego państwa", gdyż co myśleć należy o losach prawodawstwa fabrycznego w Rosyi, to zostało wypowiedziane dobitnie w broszurze „P. P. S. w ostatnich 5 latach" (patrz str. 8). W zaborze rosyjskim nawet prawodawstwa fabrycznego nie możemy uważać za jakąś odrębną „minimalną" część naszego programu. A jeśli skutkiem naszej agitacyi rząd moskiewski zdobyłby się kiedyś na *rzetelne* reformy w tej dziedzinie, to byłoby tylko pośrednim, *ubocznym* rezultatem *całej* naszej walki, tak jak stała się nim — ku powszechnemu naszemu zdumieniu — politechnika w Warszawie (p. Memoryał Imeretinskiego). Im bardziej nieprzejednaną będzie walka proletaryatu polskiego o *całość* naszych ideałów, tem łatwiej ubocznym *nieobliczalnym* jej wynikiem mogłyby się stać jakieś nawet rzetelne — tytułem wabika uśmierzającego rzucone — reformy w dziedzinie prawodawstwa fabrycznego. Byłby

to jednak rezultat *nieobliczalny*, tj. taki, na który liczyć, którego przewidywać, do którego dopasowywać nasze programy i naszą robotę nie możemy. I tak być musi tam, gdzie rząd za najświętsze swe prawo i obowiązek uważa nie liczenie się z opinią — zwłaszcza podbitego narodu.

Inaczej jest jednak w Zachodniej Europie.

W krajach, gdzie istnieje de jure czy tylko de facto republika demokratyczna, jak we Francyi, Szwajcaryi, Anglii, postać rzeczy bardzo się zmienia. Tam istotnie może być mowa nietylko o pozyskiwaniu „współdziałania — ograniczonego do jednego lub kilku punktów programu naszego — pewnej niesocyalistycznej jeszcze części społeczeństwa", ale i o wprowadzaniu tych punktów w życie przed ostatecznem zdobyciem władzy przez partję socyalistyczną. I to bez żadnej szkody dla całości naszych dążeń, ponieważ *urządzenia polityczne tych krajów nie stoją w żadnej zasadniczej sprzeczności z socyalizmem*, ponieważ zatem utrwalanie ich przez reformy socyalistyczne nie jest dla naszych celów szkodliwe. W krajach, których urządzenia państwowe dzisiejsze mogą być użyte przez proletaryat dla przeprowadzenia *całokształtu* naszych dążeń, w krajach tych możliwymi są — zanim dominującą w państwie partyą stanie się nasze stronnictwo — układy, kompromisy socyalistów z innemi partyami dla *częściowego* urzeczywistniania naszego programu. Tam więc wyróżnianie „programu minimalnego" mogłoby mieć pewną racyę. Jednak i tam racya bytu tego terminu jest tylko pozorną. Albowiem nie sposób jest, wobec codzień niemal zmieniającej się konstelacyi stronnictw i warunków chwili, wyodrębnić z programu pewien szereg naszych żądań, nadający się do „targów politycznych". Agitacya zaś w łonie nie skonsolidowanych jeszcze w wyraźne partye polityczne warstw społecznych nigdy nie odbywa się w imię *całego* jakiegoś *programu minimum*, lecz tylko w imię jednego lub paru *haseł* aktualnych. Oczywiście hasła te u socyalistów mają zwykle zupełnie inną doniosłość i zupełnie inne znaczenie, niż u innych partyi, a to dzięki temu, że u nas muszą one przesiąkać proletaryacką tendencyą, właściwą całości naszego programu.

Jeszcze inaczej przedstawiają się rzeczy w takim kraju, jak Niemcy, których urządzenia państwowe nie nadają się równie jak rosyjskie na narzędzie dla zwycięskiego proletaryatu, umożliwiają jednak partyi socyalistycznej pewną działalność legalną i faktycznie pozwalają na przeprowadzenie pożytecznych i rzetelnych reform w jednej przynajmniej dziedzinie — w prawodawstwie ochronnem. Możliwość działalności reformatorskiej w tej gałęzi prawodawstwa proletaryat niemiecki zawdzięcza przedewszystkiem temu, iż reformy takie nie stoją w zasadniczej sprzeczności z istniejącym porządkiem państwowym Niemiec. To też w rzeczywistości cały pozytywny udział partyi socyalistycznej w robocie prawodawczej w Niemczech ogranicza się do zakresu prawodawstwa fabrycznego. Jednak i tu miarodajnymi są nie punkty rzekomego „programu minimalnego", lecz warunki chwili, znajdujące swój wyraz w *hasłach* aktualnych. Program Erfurcki mówi o 8-godzinnym dniu roboczym, a tymczasem — swoją drogą odrzucony przez parlament — projekt ustawy fabrycznej, wniesiony przez niemiecką partyę socyalistyczną, mówił tylko o dziesięciogodzinnym.

Jednem słowem — wyodrębnienie z naszego programu jakiejś specyalnej „minimalnej" części nie ma ani logicznego ani faktycznego usprawiedliwienia — nigdzie.

A jednak wyodrębnienie to jest tak powszechnie — w rozprawianiach teoretycznych praktykowane! Jednej z głównych przyczyn tego zjawiska szukać należy zapewne w zaznaczonym przez nas odrębnym charakterze żądań z dziedziny prawodawstwa fabrycznego. Odrębność ta tyczy się coprawda tylko Niemiec i krajów o urządzeniach państwowych podobnych do niemieckich. Lecz

właśnie na niemieckich teoryach i teoryjkach przeważnie wzoruje się publicystyka nasza we wszystkich krajach.

Tu należy podnieść wielce charakterystyczną sprzeczność. W programie gotajskim socyalistów niemieckich (z 1875 r.) wyłuszczenie „ekonomicznych“ dążeń zaczyna się od słów: „Socyalistyczna partya Niemiec żąda w ramach dzisiejszego społeczeństwa...“ I odtąd wyrazy „program minimalny“ sprzęgły się powszechnie z wyrazami „w ramach dzisiejszego społeczeństwa“ lub — dokładniej mówiąc, „w ramach dzisiejszego *ustroju społecznego*“. Tymczasem — jak mówiliśmy — cechą najdalej nawet idących żądań z dziedziny prawodawstwa fabrycznego jest w Niemczech to, że dadzą się one urzeczywistnić w ramach dzisiejszych *urządzeń państwowych* tego kraju. Natomiast każde takie — nawet najskromniejsze — dążenie jest w gruncie rzeczy *zamachem* na dzisiejszy ustrój społeczny, cechujący się w logicznej swej czystości przedewszystkiem panowaniem wolnej konkurencyi i wolności kontraktu. Każde takie dążenie jest zasadniczo sprzeczne z dzisiejszym „ustrojem społecznym“, a urzeczywistnienie każdego takiego żądania właśnie szczerbi i łamie „ramy dzisiejszego ustroju społecznego“.

Tu nareszcie zbliżyliśmy się do jądra kwestyi. Właściwej przyczyny, dla której tak utarło się odróżnianie fikcyjnych „minimum“ i „maximum“ socyalistycznych, przyczyny, dla której tak upowszechniły się pochodzące stąd teoretyczne nieporozumienia (mające zresztą i praktyczną doniosłość, ale tylko tam, gdzie praktyka jest młodą, a ruch nasz słabym) — przyczyny tej szukać należy w ciągłem mieszaniu pojęć „ustroju społecznego“ z jednej strony, a „urządzeń państwowych“ czyli „ustroju prawnego“ z drugiej strony. Mieszanie zaś to jest skutkiem zbyt śpiesznego lub nieoględnego przenoszenia pojęć naukowych, socyologicznych, do dziedziny praktyki partyjnej, życia politycznego. Jest więc ono jeszcze jednym objawem — że tak powiem — chorobliwej „naukowości“ publicystów naszych.

Pojęcie „ustroju społecznego“ jest istotnie pożytecznem i niezbędnem w socyologii. Pomimo tego, że na świecie ciągle „wszystko płynie“, pomimo tego, że proces dyalektycznego rozwoju społeczeństw nie zatrzymuje się ani na chwilę, koniecznemi są w socyologii abstrakcye w rodzaju „ustroju społecznego“: feodalnego, kapitalistycznego i socyalistycznego. Nikt nie zdoła wytknąć linii demarkacyjnej, odgraniczającej w czasie te ustroje, nikt nie wskaże w historyi ludzkości przykładu czystego jakiegoś „ustroju społecznego“, który by nie nosił w swem łonie wyraźnych szczątków przeszłości i kiełków przyszłości. A jednak w naukowem badaniu społeczeństw „domieszki“ te musimy abstrahować, i nic łatwiejszego — jak zapomnieć o tem, że abstrakcye, w ten sposób otrzymane, pozostają abstrakcyami naukowemi, całkiem nieodpowiedniemi do operowania w życiu praktycznem stronnictw politycznych.

Otóż naukowe pojęcie socyalistycznego „ustroju społecznego“, przeniesione niewłaściwie do praktyki partyjnej, rodzi... t. zw. program „maximum“. Stąd też pochodzi ta chwiejność, nieokreśloność, bezbarwność formułek maksymalnych, jaką wyżej widzieliśmy. Pod „maximum“ każdy rad jest rozumieć wcielenie swych mglistych subjektywnych utęsknień społecznych, lub resumé swych hypotez socyologicznych. I jedno i drugie jest dość nieuchwytne, a w każdym razie trudno jest znaleść dwie jednostki identycznie pod względem utęsknień społecznych nastrojone, lub dwóch socyologów jako tako zgodnych na punkcie hypotez o przyszłości społeczeństw. A jednak program musi być uznany przez całe wielogłowe stronnictwo. Jeśli więc chce się umieścić w nim owe utęsknienia i owe hypotezy, to daje się frazesy bez konkretnej treści i chrzci się je mianem „maximum“.

Naturalną koleją rzeczy wtedy to, co stanowi prawdziwą treść dążeń partyi politycznej, musi spaść do podrzędnej roli „minimum“. A tymczasem jeśli

już gwałtem chcemy przypinać te łacińskie nazwy do naszych programów, to właśnie owe konkretne żądania programowe zasługują na nazwę „maximum“. One to podają *maximum* tego, co partya nasza w chwili dojścia do władzy chce i — *w drodze prawodawczej*, *w drodze politycznej* — może dokonać.

Dziedzina prawodawstwa, sfera oddziaływania politycznego jest wszakże jedynym żywiołem, w którym partya nowożytna jako taka może żyć i życie swe przejawiać. I dla tego celem partyi nie jest jakiś „ustrój społeczny“, lecz pewne urządzenia państwowe. Celem partyi socyalistycznej nie jest socyalistyczny ustrój społeczny, lecz demokratyczna republika, urzeczywistniająca ekonomiczne dążenia klas pracujących, a przedewszystkiem proletaryatu, inaczej mówiąc — republika, w której dominującym czynnikiem politycznym jest proletaryat, dominującą partyą — socyaliści

Takie pojmowanie naszego celu pozwala nam już na przeprowadzenie linii demarkacyjnej między okresem kapitalistycznym a socyalistycznym, pozwala na wytykanie — co prawda na razie w przyszłości — momentu zwycięstwa naszych dążeń partyjnych. Będzie nim chwila zwycięskiej rewolucyi republikańskiej, wynoszącej partyę naszą do steru władzy w państwie. Gdzie zaś rewolucya republikańska jest już dziełem dokonanem, dokonanem nie przez nas, tam dziś *częściowo*, powoli, lecz *cały* program nasz już się urzeczywistnia, tam linię demarkacyjną mogą dać tylko jakieś pomyślne wybory do ciał prawodawczych, tam możemy spokojnie obchodzić się bez epitetu „stronnictwa rewolucyjnego“. Tam państwo demokratyczne powoli się socyalizuje.

Skoro się raz wyznaczyło tej części programu socyalistycznego, która stanowi jego jądro, podrzędną *rolę* rzekomego „minimum“, nic dziwnego, że wyznacza się jej również, jakby podrzędne, pomocnicze zadania. To też tow. Luśnia genezę „minimum“ widzi w tem, że ów „prawdziwy“, „maksymalny“ ideał socyalistyczny „rozkłada się na strony i *szczeble* (sic!), aby z tej lub owej strony, po tych szczeblach, umysły oporne mogły do niego przystąpić“. Ta dziwaczna i urojona pedagogia czy demagogia programowa przypomina mi starożytne nauki egzoteryczne i ezoteryczne. Spotykałem i takich naiwnych „przywódców“ (oczywiście grupy studenckiej, choć roszczącej sobie pretensyę do miana partyi), którzy wprost mówili: „maximum — to dla nas, wyrobionych socyalistów, minimum — to dla agitacyi, dla mas“. Tow. Luśnia naturalnie ma co innego na myśli: mówi on o konkretnych „stronach“ oderwanego ideału, ale i jemu wymknęło się słówko o „szczeblach“. Warto więc chyba jeszcze raz podkreślić, że w rzeczywistości konkretne punkty naszego programu służą przedewszystkiem nie dla „opornych umysłów“, lecz dla nas samych, byśmy wiedzieli, czego chcemy i co spodziewamy się osiągnąć.

W agitacyi zaś szerokiej, obliczonej na zaznajomienie z partyą mas dotąd obojętnych lub nawet wrogo dla niej usposobionych, co innego odgrywa pierwszorzędną rolę. Najważniejszym czynnikiem w takiej robocie jest niemal czysto negacyjna krytyka najjaskrawszych wad obecnych urządzeń lub całego obecnego ustroju społecznego. Tak np. ze sprawozdania centralnej partyjnej księgarni niemieckiej „Vorwärts“ za rok 1898/9 (bynajmniej nie różniący się pod tym względem od lat poprzednich) widzimy, że najbardziej rozpowszechniane są broszury przeciwko projektom reakcyjnych zamachów na swobody klasy robotniczej oraz takie „ogólno-socyalistyczne“ rzeczy, jak „Manifest Komunistyczny“, Brackego „Precz z socyalistami!“ itp.

W ostatnich latach socyaliści niemal wszystkich krajów z uprawnionem zadowolnieniem stwierdzają fakt, że partya nasza przestała być „sektą“, pozbyła się wyłącznego charakteru „towarzystwa propagandy“ pewnych zasad oderwanych. Często za najbardziej znamienny objaw tej ewolucyi uważa się postawienie konkretnego, tj. rzekomo „minimalnego“ programu. Istotnie program kon-

kretny daje nam konieczną dla bezpiecznego dokonania tej ewolucyi nić przewodnią. Ale samo posiadanie takiego programu jeszcze o niczem nie stanowi. Taka np. frakcya De-Leonistów w Stanach Zjednoczonych posiada bardzo szczegółowy program konkretny, a jednak sektą być nie przestała. Dla wyzbycia się sekciarstwa koniecznem jest, by partya program taki właściwie stosowała, by chciała i umiała, opierając się na nim, dać odpowiedź na każde pytanie aktualne, poruszające masy. Trzeba, by partya pozbyła się świętoszkowatego poczucia „wyższości“ nad dzisiejszem życiem powszednniem, poczucia, które między innemi opiera się także na świadomości posiadania ezoterycznego, magicznego ‚programu maksymalnego“. Partya pozbywa się go ze wzrostem sił, który znowu współrzędnym jest z usuwaniem się na dalszy plan w życiu partyjnem — teoryi socyologicznych.

* * *

Niechętnie brałem pióro do ręki, bo i niebardzo wdzięczne mam zadanie. Nie miałem do powiedzenia nic nowego, nic, co mniej lub bardziej wyraźnie nie byłoby powiedziane przez tow. Luśnię w jego ostatnim artykule. Istotnie chodziło mi tylko o zwrócenie uwagi na punkty, w których Luśnia jest po prostu sam z sobą w sprzeczności. Na zakończenie dodam parę słów z powodu tej części jego artykułu, która specyalnie nas — członków P. P. S. — dotyczy.

Najzupełniej zgadzam się z tow. Luśnią, że do partyi naszej mogą należeć ludzie o najrozmaitszych poglądach na rezultaty, najbliższej walnej bitwy naszej o „swobody polityczne dla polaków“. Coprawda III Zjazd P. P. S. odrzucił żądania, by „partya za najbliższy cel uznała konstytucyę rosyjską, a niepodległość — za cel dalszy“. i dziś w szeregach naszych wcale nie widzę zwolenników tego poglądu, z którym codzienna praktyka nasza stoi w jaskrawej sprzeczności. Jednak partya nasza myśli swych członków krępować nie może — „die Gedanken sind zollfrei“ — i faktycznie w szeregach naszych, przynajmniej rekrutujących się z t. zw. inteligencyi, nieraz spotykam ludzi, twierdzących, że rezultatem naszego powstania będzie Polska demokratyczna, ale nie „socyalistyczna“.

Pogląd taki może wypływać z rozmaitych przesłanek. Niejeden zamiast o czerwonej republice polskiej, o Polsce republikańskiej i demokratycznej, w której partya socyalistyczna będzie partyą rządową, myśli o Polsce z t. zw. socyalistycznym ustrojem społecznym. A wtedy niejasna świadomość tego, iż pewien *ustrój społeczny* nie może być wyłącznem dziełem jakiegoś zorganizowanego stronnictwa politycznego, każe mu wątpić o szansach na urzeczywistnienie „Polski socyalistycznej“, jako rezultatu przyszłego powstania.

Inny znowu towarzysz — i takich spotykamy stosunkowo najczęściej — sądzi, że powstanie narodowe u nas wprawdzie może być dziełem jedynie naszej partyi, albo przynajmniej odbędzie się pod przywództwem naszego stronnictwa, ale — „na drugi dzień po zwycięstwie“ reakcyjne masy usuną partyę socyalistyczną z naczelnego w narodzie stanowiska. Jest to właśnie szykowanie się do roli „nawozu dla jakiejś narodowej demokracyi“, o którem wspomina tow. Luśnia, nota bene, dla przyszłej — jeszcze nie zrodzonej — narodowej demokracyi, albowiem dzisiejszej partyi narodowo-demokratycznej ci sami przewidujący towarzysze słusznie odmawiają wszelkiej żywotności.

Tow. Luśnia poniekąd jakby polemizuje z użytym przezemnie w zwykłej rozmowie frazesem o „nawozie“. Zaznaczę więc, że wszystko, co on mówi z tej racyi, jest zupełnie — mojem zdaniem — słuszne, ale frazesu owego nie zbija. Niema co żałować ofiar w walce o „wszystko“, jeśli się tylko „coś“ osiągnęło, zwłaszcza gdy owo „wszystko“ było ideałem dość mglistym. Ale nie umiem zrozumieć tej trzeźwości i naukowości, która *z góry* zrzeka się całkowitego ko-

rzystania z owoców walki bardzo dziś może odległej, walki, w której proletaryat nasz ma odegrać rolę nietylko głównego kontyngensu armii, lecz i jej sztabu, walki poprzedzonej długim szeregiem dzisiejszych bojów rekonesansowych, toczonych pod czerwonym sztandarem naszej partyi. A tylko taka walka może wchodzić w nasze rachuby programowe.

Powinniśmy być przygotowani również na wszelkie, nie wchodzące w rachubę ewentualności — powie Luśnia. Zapewne, ale to przygotowanie polega nie na dyskontowaniu naszych dążeń, celów i nadziei, lecz na szerzeniu zrozumienia, jak doniosłe znaczenie dla proletaryatu ma niepodległość narodowa i republikańskie urządzenia demokratyczne *same przez się*. To najzupełniej wystarczy w najmniej pomyślnych dla nas okolicznościach. Nie dość tego: o takie przygotowanie na wszelkie, tj. najmniej dla nas pomyślne, ewentualności w gruncie rzeczy nie potrzebujemy tak bardzo się troszczyć. Albowiem dążenie do niepodległości narodowej jako takiej *musi* obejmować coraz szersze masy pracującego ludu polskiego w miarę szerzenia się wśród nich oświaty politycznej jakiegokolwiek rodzaju, w miarę wzrostu życia politycznego wogóle. Takie skromne „przygotowanie na wszelkie ewentualności“ byłoby nieuniknionym choć mimowolnym rezultatem nawet roboty ś. p. Socyal-demokracyi Królestwa Polskiego. Rozumieją to dobrze nasi najserdeczniejsi z „Przeglądu Wszechpolskiego“...

Nie będę się dłużej rozwodził nad tym „trzeźwym“ poglądem, sięgającym aż do „drugiego dnia po zwycięstwie“. „Logicznie“ rozumując, można by — zdaje mi się — wyciągnąć z niego wnioski, szkodliwe dla naszej działalności praktycznej. Faktycznie jednak ci, którzy się do tego poglądu przyznają, działają w naszej partyi z niemniejszą od innych energią i skutecznością. Partya zaś nasza jako całość szerzy wśród mas pracujących nie tęsknotę do jakiejś nieokreślonej „Polski anielskiej“, lecz świadome dążenie do czerwonej republiki (jedną z „zasad“ której podług naszego programu będzie — stopniowe uspołecznienie ziemi, narzędzi produkcyi i środków komunikacyi), a narodowym demokratom rzuca okrzyk pierwszych — „utopijnych“ — socyalistów polskich: „My drugą, wam przeciwną jesteśmy ojczyzną!“ W ten sposób wszyscy zakładamy podwaliny dla — Polski socyalistycznej.

B. A. J.

Kryzys w amerykańskim ruchu socyalistycznym

Czytelnicy „Przedświtu“ byli w swoim czasie poinformowani, jak to latem 1899 r. nastąpiło w łonie jedynej do tego czasu istniejącej w Stanach Zjedn. partyi socyalistycznej (Socialist Labor Party) rozbicie na dwie części i to nie z powodu jakichś znacznych różnic programowych albo taktycznych, ale z powodu niegodnego socyalistów postępowania ówczesnego zarządu partyi oraz bezczelności redaktora urzędowego organu „The People“, której ofiarą padali zasłużeni względem rozwoju myśli socyalistycznej towarzysze oraz wszystkie takie osobistości, które nie uznawały nieomylności w każdej sprawie redaktora Daniela De Leona.

Gdy towarzysze newyorscy, stanowiący największą w kraju organizacyę partyjną, bo przeszło 1000 członków płacących, uchwalili większością przeszło 400 głosów zdetronizować zarząd krajowy wraz z generalnym sekretarzem Henrykiem Kuhnem i redaktorem tak „People“, jak i niemieckiego organu „Vorwärts“, H. Vogtem, i gdy ci nie tylko nie poddali się tym uchwałom, ale

stawili fizyczny opór, skoro im kazano opuścić biura partyi i oddać nowoobranym urzędnikom księgi i inną własność partyjną. skandal wynikły z tych zajść stał się tak głośnym, że cała masa towarzyszy po dziś dzień wstydzi się brać udział w publicznej działalności partyjnej.

Stara partya, zbudowana ofiarnością i niezmordowaną, blisko dwudziestoletnią pracą niemieckich socyalistów, których prawa wyjątkowe wygnały za ocean, zasilona w ostatniem pięcioleciu żywiołami anglo-amerykańskimi, liczyła w chwili ogólnego rozprzężenia około 5.000 członków płacących, 3 tygodniki w języku angielskim, 3 dzienniki i 3 tygodniki w języku niemieckim, następnie po jednym organie w językach: szwedzkim, duńskim, czeskim, polskim, włoskim i żargonie. Z chaosu, trwającego kilka miesięcy, wyłoniły się dwie partye, liczące akurat po połowie dawnych członków. Frakcya anti-De-Leonowska skupiła koło siebie wszystkich inteligentniejszych socyalistów wraz z oddziałami mieszczącymi się w dużych centrach przemysłowych. Oprócz tego wszystkie organy partyjne z wyjątkiem tygodnika niemieckiego w Cleveland oraz pism: żargonowego, czeskiego, szwedzkiego i włoskiego, stanęły po jej stronie. Stary zarząd potrafił zaś utrzymać w „lojalności" świeże organizacye, mające przeważnie niedoświadczone w partyjnych burzach żywioły anglo- i irlandzko-amerykańskie. Czego im jednak zbywało na wykształceniu socyalistycznem, to nadrabiali fanatycznem przywiązaniem do De-Leonowskiego zarządu i organu. Wogóle ta frakcya odznaczała się w całym przebiegu walki bardziej energiczną postawą, a raczej bezwzględnością w środkach względem swych antagonistów.

Jeżeli przed ostatecznem zerwaniem, ton „People" w traktowaniu spraw partyjnych a nawet objawów pozapartyjnych w amerykańskim ruchu robotniczym nie tylko przynosił wstyd socyalistycznemu pismu, ale wprost obrażał etykę dziennikarską wogóle, to po krachu. gdy De Leon nie potrzebował się wiązać żadnymi względami wobec towarzyszy, oponujących mu do tego czasu, całkiem otwarcie puścił cugle swojej ślepej nienawiści względem wszelkiej, choćby najmniejszej opozycyi, swojej antypatyi do niemieckich i żydowskich towarzyszy, co ośmielili się przeciwko jego zgubnej taktyce powstać, swoim mściwym, brutalnym popędom charakteru, w którym prócz znacznej energii i wytrwałości nie było ani jednego szlachetnego, wielkodusznego rysu. Jego zwolennicy uważali sobie wprost za obowiązek brutalnie znieważać towarzyszy, znajdujących się w obozie anty-De-Leonowskim. Dobre wyobrażenie daje o moralnym poziomie tych socyalistów bal. gdzie wymalowany na płótnie kangur ze szklanką piwa na łbie był tarczą, do której goście za 5 centów strzelali do celu. Redaktor „People" nazwał swych przeciwników w partyi kangurami, więc to była alegorya, mająca wystawić ich na pośmiewisko ogółu. Szklanka piwa oznaczała niemca, a strzelanie — że wolno wobec takiej opozycyi bodaj kulki użyć. Albo znów bankiet, na którym dla upamiętnienia owego 10 lipca 1899 r. „kiedyśmy niecnych kangurów wypędzili pałkami", każdy uczestnik musi wygłosić jakiś szyderczy wierszyk lub mówkę, zwróconą do byłych współtowarzyszy partyjnych. Wreszcie odśpiewanie szyderczej piosenki o „podłych, zapitych kangurach" na konwencyi narodowej, w miejsce hymnu robotniczego!

A już najciekawsze, to kierunek, w jakim rozwinął się t. zw. „Socyalistyczny Związek Pracy", płód De-Leonowski i jedna z głównych przyczyn rozbicia partyi socyalistycznej. Założony pierwotnie rzekomo dla zorganizowania tych mas robotniczych, które nie mogą lub nie chcą znaleść miejsca w „Amerykańskiej Federacyi Pracy" lub u „Rycerzy Pracy" w tych największych organizacyach centralizujących fachowe stowarzyszenia robotnicze, stał się zwłaszcza po wyrugowaniu opozycyi, istną agenturą dla łamania strejków, w których brali udział zorganizowani robotnicy, nie ulegający kontroli De Leona i jego kliki. Tak się stało podczas strejków w fabryce maszyn, a potem w fabryce cygar

w New Yorku. Pod pretekstem, że strejki te wywołane zostały przez sprzedajnych przywódców w unionach, „Socyalistyczny Związek Pracy“ zawiera umowę z pracodawcami i dostarcza im swoich ludzi, którzy na gorszych niż strejkujący warunkach zajmują ich miejsca. Naturalnie, że wywołało to straszne oburzenie u wszystkich amerykańskich robotników, którzy, bez względu na słabszy lub silniejszy stopień klasowej świadomości, uważają za święty obowiązek solidarność wszystkich robotników w wypadkach strejków, a łamiących ją za najgorszych zdrajców klasy swojej. Nieobznajomieni bliżej z walkami, jakie przeszła partya socyalistyczna, okrzyknęli wszystkich jej członków za sprzymierzeńców kapitału a wrogów unionów robotniczych. Redakcya „People“, zamiast pokryć niecne uczynki swojej frakcyi płaszczykiem milczenia, jeszcze się głośno chwaliła faktem, że jej członkowie zajęli miejsce strejkujących. Klice De-Leonowskiej na nic się nie przydało takie niechlubne „zdobycie dwóch fabryk dla członków socyalistycznego związku“, bo ten od swego założenia skazany był na niemoc. W ciągu kilku lat swej działalności miasto róść w siły i znaczenie, upadał z dniem każdym. Dziś pozostały tylko szczątki, podtrzymywane ambicyą kierowników.

Ze względów technicznych sądy rozstrzygnęły prawo do uznania przez władze przywilejów, służących każdej organizacyi politycznej, na korzyść stronnictwa De-Leona — tak w stanie Newyorskim, jak w kilku innych. Na skutek tego druga frakcya, skupiająca się koło niemieckiego dziennika w New Yorku, uchwaliła, nie mogąc po wyroku sądowym wystawić osobnego tykietu, wstrzymać się od głosowania, a nawet rozwinąć agitacyę przeciwko liście kandydatów De-Leońskich. Sądzono, że w ten sposób zdoła się wykazać, iż tamci nie mają za sobą zwolenników i tem poderwać im grunt pod nogami dla przyszłej działalności. Okazało się, że był to krok niefortunny. Dzięki temu, że bardzo wiele socyalistycznych wyborców nie interesuje się wcale partyjnymi swarami, a dalej, że w ostatniem dwuleciu przybyło sporo członków z pośród ludności anglo-amerykańskiej, która zgoła nic nie wiedziała o zajściach w partyi, stronnictwo De-Leona otrzymało tyle głosów, ile partya dostawała przed rozłamem. Tak więc przez wstrzymanie się od głosowania ostatniej jesieni, anti-De-Leończycy zamiast ich osłabić, raczej ich wzmocnili, a siebie wystawili na niesłuszne podejrzenie, że nie mają za sobą zwolenników i że się zaprzedali partyom kapitalistycznym. Redaktor „People“ mógł z tryumfem głosić, że ogół robotniczy uważa jego taktykę za jedynie rewolucyjną i do celu wiodącą.

Ich zjazd, odbyty w początkach czerwca w New Yorku, a obesłany przez 83 delegatów, potwierdził jednogłośnie, jeszcze pod wrażeniem rezultatów wyborów, wszelkie przedłożone ze strony przywódców wnioski i rezolucye; nawymyślał raz jeszcze na życzenie prezydyum swoim byłym współtowarzyszom od kapitalistycznych najemników i zdrajców, pochwalił karczemny ton swojego angielskiego organu, uznał organizacyę sławetnego „Socyalistycznego Związku“ za jedynie zbawienną, a rozbijanie konserwatywnych unionów za cnotę. Uchwalono wykreślić z programu jako „niepotrzebny balast, który przystoi jedynie kangurom“ wszelkie t. zw. przejściowe żądania. Skrócone w ten sposób wyznanie ich wiary zawiera właściwie tylko deklaracyę o socyalistycznym ustroju przyszłości i akcentuje bardzo silnie walkę klasową. Prócz tego zjazd dał swojemu zarządowi krajowemu daleko więcej władzy niż przedtem. Wogóle tendencya do uszczuplania demokratycznych form organizacyjnych na korzyść stosunkowo znacznej władzy urzędników i komitetów partyjnych była znamienną cechą zjazdu narodowego De-Leończyków.

Z właściwą im energią zabrali się, mając około 13.000 dol. kapitału żelaznego, do zamienienia swego „People“ na dziennik i od 1 lipca wychodzi w New Yorku „Daily People“ jako druga próba socyalistów amerykańskich zaopatrzenia tutejszego ogółu robotniczego w dziennik, redagowany wyłączn

w interesie jego potrzeb społecznych. Przed laty 14 wychodził przez krótki czas dziennik „Leader“ w New Yorku, nakładem spółki publikującej anti-De-Leonowską „Volkszeitung“, a redagowany przez Szewicza, niegdyś główną osobistość w młodziutkim ruchu amerykańskim. Wtedy stracili wydawcy na angielskim dzienniku 20.000 dolarów. Że obecni wydawcy „Daily People“ daleko więcej dołożą, można przyjąć za pewnik. Największy entuzyazm i ofiarność członków partyi nie zdoła utrzymać pisma, które musi zdobyć dla zapłacenia kosztów wydawniczych 70.000 czytelników. Robotnik amerykański, a szczególnie w dużych miastach jak New York, Chicago i Filadelfia, nie jest tak klasowo uświadomiony, ażeby uznał konieczność posiadania organu socyalistycznego. Mimo swych rosnących sympatyi dla idei socyalistycznej, woli czytać ogromnych rozmiarów, ilustrowany, żywo pisany, różnostronny i sensacyjny, a bardzo tani dziennik burżuazyjny, który go często-gęsto poklepie po ramieniu, a zbeszta tego i tamtego milionera. Socyalistyczny „People“, choć kosztuje jednego centa, za mało daje mu do czytania i zanadto jest dlań poważny. Mimo skądinąd bardzo przyjaznych warunków, jak taniość papieru, druku i rat pocztowych, a co najważniejsza, nieodzownej potrzeby, jaką każdy amerykański robotnik odczuwa do czytywania dziennego pisma, socyalistyczna prasa w żadnym kraju, prócz Anglii, nie ma takich ogromnych trudności do zwalczania w zdobywaniu czytelników, jak właśnie w Stanach Zjednoczonych, których ludność miejska jest bardzo skorumpowana gazeciarstwem, zapełnionem błahą, nędzną, sensacyjną i łechtającą brutalne instynkty, strawą umysłową.

W ciągu tego czasu i wroga dla taktyki De Leonowskiej partya nie była całkiem bezczynna. Jakkolwiek przez zbieg różnych okoliczności skazana na abstynencyę przy zeszłojesiennych wyborach i zmuszona tu i owdzie na skutek decyzyi sądowej do przyjęcia nowej w przyszłości nazwy, bo stara przyznaną została stronnikom De Leona, partya ta zajmowała się głównie udoskonaleniem swych nielicznych, ale z innych względów pokaźnych, sekcyi oraz czyniła wielkie przygotowania do swego zjazdu. W tym, zwołanym na 25 stycznia do Rochester, (stan New Yorski), wzięło udział 56 delegatów, reprezentujących 38 miejscowości. Za delegatów sekcye obrały wykształconych i zasłużonych względem ruchu socyalistycznego towarzyszy. Najważniejszym przedmiotem obrad było wypracowanie statutów, które miały uniemożebnić podobne uzurpowanie władzy, na jakie sobie pozwoliła egzekutywa De-Leonowska; następnie określenie stosunku partyi do trades-unionów oraz sprawa połączenia się z partyą socyalno-demokratyczną, inaczej zwaną od nazwiska jej założyciela, Debsowską.

Kwestya zlania się obu partyi wyszła z łona ogółu członków podczas dyskusyi przedzjazdowej w łamach organów. Liczne komunikaty, nadsyłane tym ostatatnim, w przygniatającej większości były za formalnem połączeniem się. Najwpływowsze zaś organy partyi były albo obojętne wobec tego punktu, albo też nie koniecznie przychylne kompletnemu zlaniu się. Zarząd partyi w swojej większości był przeciw łączeniu się, uważając je za trochę przedwczesne ze względu na różnorodność żywiołów, stanowiących partyę Debsa. To też jednogłośne rzec można, a nawet entuzyastyczne wypowiedzenie się zjazdu w Rochester za ścisłem połączeniem się, było dla wielu niespodzianką. Swoją drogą wystawiono na wszelki wypadek własny tykiet wobec zbliżających się wyborów na prezydenta St. Zjednoczonych. Wyznaczono komitet i zaopatrzono go w pełnomocnictwo stawienia się na zjazd partyi socyalno-demokratycznej i traktowania z nią o warunkach umowy.

I w partyi Debsa były niemniej żywo omawiane pożytki lub szkody, mogące wypłynąć z formalnego zlania się z anti-De-Leonowskiem skrzydłem. Ogół członków był za połączeniem się za jakąkolwiek cenę; przywódcy albo chłodno za aliansem podczas wyborów, czyli postawieniem jednego tykietu, lub

wprost przeciwko łączeniu się. O zlaniu się w jedno ciało nie chcieli słyszeć, a to ze względów następujących. Anti-De-Leonowcy nie złożyli jeszcze dowodów, że otrząśli się z ducha swego zdetronizowanego dyktatora, a socyalna demokracya nie życzy sobie wchłaniać tendencyi De-Leonowskich. Dalej — reprezentują nieliczne, rozbite i zdemoralizowane członkostwo. Okoliczności, wymagające formalnego zlania się, jeszcze nie dojrzały. Przeciwko takiemu organicznemułączeniu się nikt nie protestuje, ale trzeba czekać, aż się członkowie po obu stronach lepiej poznają. W łonie ich, jak okazuje się z dyskusyi, prowadzonej w ich organach, odzywaią się głosy, aby zatrzymać dla zjednoczonej partyi nazwę : socyalistyczna partya robotnicza. Ta zdyskredytowała się w opinii robotników amerykańskich tak stanowiskiem, jakie zajęła wobec konserwatywnych unionów, jak małodusznością, bigoteryą, nienawiścią wszelkiej racyonalnej opozycyi, które cechowały jej byłych kierowników. Wreszcie partya socyalno-demokratyczna jest młoda i nie zasobna co do członków albo funduszów, ale może się poszczycić większem powodzeniem w ciągu jednego roku niż stara partya w czasie swej dwudziestoletniej historyi. Ma to, czego tamtej brakowało : popularność u szerokich warstw ludu amerykańskiego, entuzyazm i braterskie uczucie i kompletną harmonię wpośród swego członkostwa, nazwy swej więc żadną miarą nie poświęci.

Ale w miarę tego, jak się zbliżała data wyznaczona dla zjazdów obu partyi, a kierownicy spostrzegali że członkowie po obu stronach chcą połączenia bodaj za cenę największych ustępstw, opozycya ich osłabła, a przynajmniej występowała oględniej.

Zjazd partyi socyaldodemokratyczej zwołany był na dzień 6 marca do Indianopolis (Stan Indiana). Zebrało się 67 delegatów, wysłanych od 17 organizacyi stanowych.

Zaraz po rozmaitych sprawozdaniach i załatwieniu spraw statutów organizacyjnych, stawił się komitet stronnictwa anti-De-Leończyków i odtąd kwestya połączenia się była prawie wyłącznym tematem rozpraw. W opozycyi całkiem otwartej stanęło tylko kilku delegatów — towarzyszy żydowskich z New Yorku, którzy byli niegdyś ofiarami nietolerancyi, panującej w starej partyi socyalistycznej, oraz kilku z Massachusetts, obawiających się ducha De-Leonowskiego. Najbardziej jednak wpływowi i najwymowniejsi oświadczyli się za organicznem zlaniem się. Właściwie zgodzono się zaraz w początkach na złączenie się w zasadzie i to nawet z entuzyazmem. Potargowano się tylko potem, gdy wyłoniła się kwestya nazwy oraz wybór kandydatów na tykiet prezydenta i wiceprezydenta St. Zjednoczonych. Ostatni punkt ubito w ten sposób, że wybrano ze strony socyalnej demokracyi Eugeniusza Debsa jako kandydata na prezydenta, a Joba Harrimana, doskonałego pisarza i mówcę, z pośród socyalistów anti-De-Leońskich, na wiceprezydenta. Ci przywódcy, którzy byli przed zjazdem przeciwko formalnemu łączeniu się, nie wypowiadali się za tem, kiedy była pora. Niektórzy z pośród nich na uboczu trochę intrygowali, ale tak, że nie zwracali tem większej uwagi. Ostatecznie z pośród delegatów z różnych stanów wyznaczony został komitet wyborczy do wspólnej konferencyi z komitetem, wydelegowanym przez zjazd w Rochester. Oba miały wypracować szczegółowy plan zlania się, statuty, nazwę i przeprowadzić po ukończonych pracach ogólne głosowanie członków obu partyi, dla zatwierdzienia łączności.

Delegaci rozjechali się do domów w podniosłem poczuciu, że dopięli łączności wszystkich dobrych żywiołów socyalistycznych. W obu partyach świeża otucha wstąpiła nawet w zatwardziałych pesymistów. Osobniki, co się wczoraj jeszcze zwalczały, naraz ucichły i gotowe były wszystkiego zapomnieć i podać sobie dłoń do zgody. Ze wszystkich stron kraju sypały się do pism socyalistycznych serdeczne gratulacye od ludzi, zdala dotychczas od ruchu stojących, z przyrzeczeniem wszelkiej możliwej pomocy. Konserwatywne nawet trades-uniony ame-

rykańskie uchwalały w bardzo wielu miejscowościach rezolucye z wyrażeniem sympatyi dla dokonanego u socyalistów dzieła złączenia i dla Eugeniusza Debsa, „Kandydata ludu“.

Głośno manifestnjący się entuzyazm szerokich mas robotniczych dla Debsa nie przeszedł bez śladu i w prasie burżuazyjnej wszystkich barw politycznych. Po raz pierwszy w historyi socyalizmu amerykańskiego dziennikarstwo poważnie traktuje ideę poniewieraną lub wprost ośmieszaną. Dyskusya o socyalizmie zawrzała jak kraj długi i szeroki. Pisma, broniące zasad republikańskiej partyi kapitalistycznej, w cichości radc są z kandydatury Debsa, który nie będzie obranym, co prawda, ale może się na pewno spodziewać poważnej ilości głosów, co mocno zepsuje szanse powodzenia kandydata partyi demokratycznej, reprezentującej interesa drobnokapitalistyczne i małomieszczańskie, a okrzyczanego przez republikańskich wielkokapitalistów za „niebezpiecznego radykała“. Niektóre organy populistów, czyli właścicieli ziemskich (farmerów), skłaniających się ku mieszczańskiemu radykalizmowi, omawiają kandydaturę Debsa jako wcale poważny czynnik w tegorocznej kampanii wyborczej i przepowiadają mu pół a nawet i milion głosów. Tu i owdzie na zachodzie Stanów Zjednoczonych t. z. reformatorskie tygodniki, uprawiające dotychczas różnobarwny demokratyzm w znaczeniu europejskiem z domieszką państwowego lub chrześciańskiego socyalizmu, oświadczają się za kandydatami złączonych partyi socyalistycznych. Dziennikarstwo, stojące za Bryanem, apostołem demokratów, wzywa swoją partyę do ustępstw dla robotników. Obawia się całkiem seryo, że Debs znacznie zaszkodzi Bryanowi, odciągając mu wszystkie radykalne żywioły robotnicze i oburza się na socyalistów, „którzy zapewne stoją na żołdzie milionerów z partyi republikańskiej“. Socyaliści, ożywieni myślą, że stoją w przededniu organicznego połączenia się, a nawet że są już faktycznie jednem ciałem, które tylko czeka pewnych technicznych formalności, aby się stać jedną silną partyą, szykują się do gorącej i wielce obiecującej kampanii. Entuzyaści z pośród nich widzą już Debsa za lat osiem, czyli po dwóch jeszcze wyborach, na krześle prezydenta St. Zjednoczonych...

Wtem pada — bomba! Na ruch, pełne nadziei i młodzieńczej otuchy, leje się strumień zimnej wody.

Oto zarząd partyi socyalno-demokratycznej w Chicago, nie czekając aż wspólny komitet dla uskutecznienia złączenia się obu partyi ukończy swoje prace, wypuszcza manifest, wzywający swych towarzyszy, aby nie uznali komunikatów owego komitetu; aby porzucili myśl łączenia sie z anti-De-Leońskim żywiołem, a stali wiernie przy sztandarze własnej organizacyi. A dlaczego? Bo oto reprezentanci anti-De-Leończyków nie chcą widocznie dotrzymać obietnic, danych w Indianopolis, że postarają się wpływać na swoją partyę, aby przyjęła nazwę socyalnej demokracyi a nawet chcą przenieść siedzibę komitetu wykonawczego złączonej partyi z Chicago do Springfield, stan Massachusetts, gdzieby mieli większość i kontrolę. Tymczasem Chicago jest jedynem odpowiedniem miejscem dla zarządu partyjnego i demokracya socyalna wzrosła w siły i znaczenie pod kierownictwem chicagoskiem. Manifest zarzuca także anti-De-Leończykom, że nie pozbyli się jeszcze ducha nietolerancyi, intrygi i ciasnoty pojęć swego byłego mistrza i że wejście ich do czystej, młodzieńczej demokracyi socyalnej, przyniosłoby tylko szkodę.

Odezwa kierowników chicagoskich, z którymi w osobnym artykule, ogłoszonym w organie socyalnych demokratów, zsolidaryzował się i Debs, sprawiła w obu mających się lada dzień złączyć obozach nieopisany popłoch. Członkowie, najstarsi i najmłodsi, struchleli. Pierwsi już na samą myśl, że zarząd socyalistycznej partyi może tak deptać elementarne zasady demokratycznej organizacyi, stanąwszy ponad życzenia tak zjazdów, jak widocznej z dyskusyi w organach chęci ogółu członków do połączenia się. Młodzi w ruchu tracą głowy i nie wiedzą, komu wierzyć, gdzie jest słuszność i co im czynić wypada. Na razie

łamią się szeregi, następuje ogólna demoralizacya, a partya De Leona tryumfuje.

Prasa kapitalistyczna z nietajoną radością przygląda się jak „towarzysze“ i „zbawcy ludzkości“ targają swoje własne mięśnie, jak w rzeczywistości przedstawia się ich „osławiona miłość bratnia i solidarność“ i „czego się — woła burżuazyjne dziennikarstwo — mogą spodziewać robotnicy od tych reformatorów, co sami sobie zarzucają podstęp, łamanie obietnic, intrygi i zdradę“. Przyjaciele sprawy, zdala od organizacyi stojący, albo się oburzają, albo zwieszają głowy w zwiątpieniu. Organy partyjne namiętnie atakują autorów manifestu, zarzucając im zdradę. (Ci ostatni mieli tylko jedno pismo w Chicago do swojego rozporządzenia).

Chłodniejsze głowy wśród demokracyi socyalnej jakoteż z partyi anti-De-Leonowskiej uchwalają ignorować manifest, jako nielegalny akt urzędowy ze strony Komitetu chicagoskiego. Spora liczba sekcyi socyalno-demokratycznych postanawia czekać, aż komitet wybrany w Indianopolis zarządzi generalne głosowanie, i wypowiada się za połączeniem, surowo ganiąc zarząd. Tymczasem zaś członkowie partyi anti-De-Leonowskiej głosują za nazwą „partya socyalno-demokratyczna“, aby usunąć wszelkie możliwe trudności, stawiane przez kilku przeciwników unii z partyi Debsa. Głosowanie po sekcyach, przedsięwziete ze strony chicagoskiego komitetu, daje bardzo nieznaczną większość przeciwko unii. Z pośród blizko 5000 członków (tyle liczy sama socyalna demkracya) bierze udział w głosowaniu zaledwie trochę wyżej 2.000, a z tego blizko połowa, i w tej liczbie najruchliwsze organizacye, chce za wszelką cenę łączności. Widocznem się staje, że rozłam wśród młodej partyi Debsa jest nieunikniony, bo tak przyjaciele, jak przeciwnicy unii namiętnie za swojem obstają. Czeka się tylko aż komitet, wybrany w Indianopolis, przeprowadzi głosowanie nad ukończonymi sta tutami dla złączonej partyi. Znów trochę nad 1000 członków demokracyi głosuje za unią i przyjmuje z małymi poprawkami statuty. To samo czyni, tylko jednogłośnie prawie, więcej jak 2000 członków partyi anti-De-Leonowskiej, następuje formalne złączenie się obu skrzydeł i wybór tymczasowego, aż do kampanii prezydentowskiej, zarządu z siedzibą w Springfield. Złączona partya nosi nazwę socyalnodemokratycznej i liczy blizko 4000 członków.

Pierwotna albo, jak ona siebie mianuje, „prawidłowa socyalna demokracya“ nie ustępuje bynajmniej wobec faktu, że straciła połowę i to najlepszych członków. Jak gdyby nic nie zaszło, organizuje nowe oddziały i drukuje odezwy i broszury agitacyjne. Specyalny komitet w Chicago ma kierować kampanią wyborczą. Takiż sam komitet również z kwaterą w Chicago obiera „połączona“ socyalna demokracya.

Jedyne w swojem rodzaju widowisko! Dwie partye o jednej nazwie — i obie mają tych samych kandydatów na tykiecie prezydentowskim, a z tychże jeden, Debs, mieni się być kandydatem chicagoskiej, drugi zaś Harriman, springfildskiej demokracyi socyalnej. Naturalnie, że skoro ci kandydaci zdołają połączyć za sobą sporo głosów, to obie partye będą miały pretensye, że to ich zasługa. Wistocie trudno będzie odgadnąć, kto ma słuszność.

Sytuacya amerykańskiego ruchu socyalistycznego jest obecnie taka: *Socyalistyczna partya robotnicza* (Socyalist Labor Party), czyli De-Leońska, ma około 3000 członków, jeden dziennik w języku angielskim i kilku popularnych mówców, którzy jednak nie wystarczają dla zaspokojenia wszystkich potrzeb kampanii wyborczej. Drugie partye przewyższa dyscypliną, fanatyzmem i ofiarnością swych członków, ale zato jest zdyskredytowana u zorganizowanych robotników amerykańskich. *Partya socyalno-demokratyczna* z komitetem wykonawczym w Springfield, najbogatsza jest ze wszystkich trzech w członków, pisma mówców, natomiast brak w niej entuzyazmu żywiołowego i środków pienięż-

nych, aby należycie pokryć siecią agitatorów całe ogromne terytoryum St. Zjednoczonych. Szkodzi jej i to, że jej wybraniec na prezydenta, Debs, mieni się kandydatem partyi chicagoskiej i to otwarcie w swych mowach ma głosić przed wyborami. *Socyalna demokracya* z kwaterą w Chicago pomimo, że ma za sobą bardzo popularną osobę Debsa, najuboższa jest pod każdym względem, a i zapał jej członków wiele pozostawia do życzenia.

Wszelkie hipotezy co do tego, która z trzech wymienionych partyi otrzyma najwięcej głosów, byłyby zupełnie płonne. Pewnikiem jest tylko to, że stronnictwo, które przy wyborach otrzyma największą liczbę głosów, stanie się partyą, skupiającą wszystkie, dziś jeszcze niezdecydowane, ale bardzo liczne żywioły, skłaniające się ku socyalizmowi.

W. Fiszler.

NEUTRALIZACYA ZWIĄZKÓW ZAWODOWYCH
w Niemczech
i jej znaczenie dla socyalizmu polskiego*)

Wiadomo, że ludności polskiej, żyjącej w zaborze pruskim, oraz osiadłej w Westfalii lub rozproszonej po innych krajach niemieckich, jest przeszło $3^1/_2$ miliona. Wiadomo, że większość tej ludności to nędzarze — albo drobni chłopi, przytłoczeni podatkami, długami i samowolą dziedziców, albo po prostu proletaryusze, nie posiadający ani własnego warsztatu, ani sklepu, ani piędzi ziemi, a za ciężką pracę licho, częstokroć haniebnie wynagradzani i zazwyczaj traktowani brutalnie. Wiadomo, jak smutnie się różni położenie tego polskiego proletaryatu od owej względnej wolności i względnego dobrobytu, którymi się cieszą liczne zastępy niemieckich robotników wielkiego przemysłu w takim np. Hamburgu albo Berlinie, lub wolni chłopi na południowym zachodzie Niemiec; wiadomo, że polaków setkami sprowadzają niemieccy dziedzice i dyrektorowie kopalń, nie z miłości dla narodu polskiego, tylko dlatego, że ci, przyzwyczajeni do najgorszej nędzy i pogrążeni w ciemnocie, łatwiej się zgodzą na jaknajlichsze warunki pracy i łatwiej ścierpią pogardliwe obejście się z nimi, niż robotnicy niemieccy. Wiadomo też, że jedyna polska gazeta socyalistyczna, wychodząca w państwie niemieckiem, dotąd nawet jeszcze dwóch tysięcy prenumeratorów się nie doczekała, podczas kiedy olbrzymia większość robotników polskich w zaborze pruskim i w Niemczach stoi pod kierownictwem nie partyi socyalistycznej, nie związków zawodowych, tylko katolickiego kleru. Tak! gazety tego kleru naprawdę wygłaszają opinię „żyjącego i pracującego w Niemczech oraz w zaborze pruskim polskiego proletaryatu"; „Gazeta Robotnicza" zaś, jak dotąd, wypowiada opinię garstki towarzyszy dobrej woli, ale niemal pozbawionych wpływu. Smutne to fakty, niezmiernie smutne. Trzeba jednak przyznać się do nich, a nie odwracać oczu i nie pocieszać się różowemi mamidłami, bo wobec nędzy milionów, trzeźwość staje się obowiązkiem, a donkiszoterya zbrodnią.

Ale nie dość jest poprzestać na przyznawaniu się do faktów, trzeba się także starać o zrozumienie ich. Otóż są niektórzy towarzysze niemieccy, którzy, nie znając narodu polskiego zblizka, tłómaczą sobie tę odporność polskich mas robotniczych poprostu niższym szczeblem kulturalnym, a może nawet i mniej-

*) Nie godząc się zupełnie na stanowisko szanownego naszego współpracownika, wypowiemy się w tej sprawie w Nr. 11 „Przedświtu". *(Red.)*

szem przyrodzonem uzdolnieniem polaków. Nam, polakom, takie powierzchowne i fałszywe tłómaczenie wystarczać nie może. Że ono istotnie jest fałszywem, za tem świadczy okoliczność, że są dzielnice rdzennie niemieckie, gdzie agitacya socyalistyczna napotyka trudności podobnegoż rodzaju. Wspólną cechą zaś tych niemieckich dzielnic, jak i dzielnic polskich zaboru pruskiego jest to, że są — *katolickie.*

Na pierwszy rzut oka mogłoby się wydawać, że ta ostatnia okoliczność jest dla naszej kwestyi obojętna. Wszak nawskróś katolicka Belgia szczyci się jedną z najsilniejszych socyalistycznych partyi w Europie, i we Francyi i Austryi socyalizm wcale niezłe czyni postępy.

Ale między wymienionymi krajami a państwem niemieckiem zachodzi zasadnicza różnica. W Belgii, w Austryi, a w pewnej mierze nawet we Francyi katolicyzm jest *kościołem panującym,* uznanym i popieranym przez rząd. Inaczej w państwie Hohenzollernów. Tutaj religia katolicka jest *religią ujarzmionej mniejszości,* nienawidzona, upośledzona, a czasami wprost prześladowana przez centralną władzę państwową, jako niebezpieczna rywalka państwowej religii. Wiadomo, z jaką nietolerancyą Bismarck w czasie „kulturkampfu“ wojował przeciwko ludności katolickiej i jej religii — nie na korzyść rzeczywistej oświaty, lecz poprostu na korzyść państwowego kościoła pruskiego, tej najwsteczniejszej karykatury protestantyzmu. Prześladowanie te *musiało* zespolić katolicką ludność w jedną zwartą masę opozycyjną — w partyę *katolików* bez różnicy stanowiska społecznego czy ekonomicznego, mieszczan i wieśniaków, drobnych chłopów i magnatów, fabrykantów i robotników. Tak powstała najsilniejsza z partyi politycznych w Niemczach : *centrum*, do dziś dnia zajmujące niezdobyte pozycye w prowincyi Nadreńskiej, w Westfalii i części Hannoweru, jak również w Bawaryi niższej i wyższej, w niektórych okręgach szwabskich i u stóp Czarnego Lasu. Z historyczną koniecznością też przedstawiciele katolickiego ludu polskiego w zaborze pruskim stali się sojusznikami niemieckich katolików.

Natomiast pierwotnymi ośrodkami socyalistycznego ruchu robotniczego w Niemczach były *protestanckie* miasta przemysłowe, takie jak Lipsk, Berlin, Hamburg. Tutaj konstelacya bynajmniej nie sprzyjała tworzeniu się *religijnej* partyi ludowej ; wszak tutaj religia ludu była zarazem religią państwową. Przeciwnie, właśnie ten fakt, że religia ludu była jednocześnie i oblubienicą i wierną sługą państwa, podawał ją w podejrzenie u robotników, z ekonomicznych przyczyn do niezadowolenia i opozycyi przebudzonych. Tym sposobem socyalistyczny ruch robotniczy w Niemczech nabrał zabarwienia wyraźnie antyreligijnego, przez długi czas to zabarwienie zachował i socyalistom się zdawało, że być inaczej nie może. Ale w miarę jak agitacya socyalistyczna docierała do odleglejszych dzielnic kraju, spostrzeżono, że są szerokie warstwy ludu, które według ekonomicznej swej sytuacyi powinny by się były szybko i licznie nawracać do socyalizmu, ale których odstraszała od socyalistów sprawa zupełnie nie-ekonomiczna : pogląd socyalistów na istnienie Boga, nieśmiertelność duszy i tym podobne kwestye, teoretycznie niezmiernie ciekawe, ale w praktycznej polityce niezmiernie obojętne. Już wieśniacy protestantcy o wiele uparciej trzymają się wiary ojców niż protestanccy robotnicy miejscy — a cóż dopiero ludność katolicka! A przecież zamiarem socyalistów było zjednoczenie pod swojem godłem *całego proletaryatu.* Tak więc zaczęła się tworzyć między socyalistami opinia, że trzeba wyraźnie zaznaczyć, iż poglądy materyalistyczne i ateistyczne *nie są obowiązkowe* dla członków partyi socyalistycznej, że wolno socyaliście być wiernym katolikiem, protestantem lub żydem, jeżeli tylko zgadza się na ekonomiczne i polityczne żądania socyalizmu. Ostateczną swoją formułę pogląd ten znalazł w następującem zdaniu programu erfuckiego : *„Religia jest sprawą prywatną“.* Wcielenie tego zdania do programu stanowiło zakończenie długiej a zaciętej walki. „Nieza-

wiśli socyaliści", tj. ówczesni skrajni doktrynerzy marksizmu, nielada się oburzali na tę „zdradę". Dzisiaj nikt już nie myśli o wyrugowaniu tego zdania z programu ; przeciwnie, partya z ochotą przyjmuje do swoich szeregów takiego księdza Göhre, socyalistę konsekwentnego we wszelkich sprawach świeckich i ziemskich, ale głośno wyznającego, że jest chrześcianinem i chce nim pozostać. To nie zdrada, ale zdrowa taktyka, a przedewszystkiem zdrowa loika, bo kwestya stworzenia świata niema nic, zgoła nic do czynienia z uspołecznieniem środków produkcyi.

Ale pokazało się, że i na tem nie dosyć. Walka polityczna między partyą socyalistyczną a partyą centrum toczyła się dalej ; w tej zaś walce zwarte masy ludności katolickiej pod panowaniem pruskiem i nadal stały po stronie centrum, jako partyi broniącej ich wiary. Prawdopodobnie zmieniłoby się to, gdyby rząd pruski zniósł instytucyę „religii państwowej" i obdarzył katolików szczerem, trwałem równouprawnieniem ; ale rząd pruski czuje się solidarnym ze „swoim" kościołem. Tymczasem więc krocie proletaryuszów-katolików nie biorą żadnego udziału w walce klasowej. Jeszcze raz zaznaczam fakt, że ogromna większość robotników polskich w zaborze pruskim i w Niemczech tak samo się zachowuje.

Otóż nareszcie odkryto drogę do przebudzenia tych zacofanych mas robotniczych, do pozyskania ich dla walki klas, dla walki o wyzwolenie drogę — niepolityczną.

II.

Kto zna historyę ruchów robotniczych w zachodniej Europie, ten wie, że każdy zdrowy i żywotny ruch robotniczy dąży do rozwinięcia trzech skrzydeł, dążących do tego samego ostatecznego celu, ale do pewnego stopnia wzajemnie niezależnych od siebie. Te trzy skrzydła — to partya socyalistyczna, stowarzyszenia spółdzielcze i *związki zawodowe.* Historycznie i przyczynowo biorąc, te ostatnie są właściwie *pierwszą* formą organizacyi. Nim jeszcze robotnik pojmie, że jest członkiem klasy robotniczej, pojmuje, że jest mularzem, czy górnikiem, nim jeszcze potrafi zrozumieć, że wspólność interesów klasowych łączy go z całym proletaryatem, rozumie, że wspólność codziennej pracy, codziennych cierpień i niebezpieczeństw i wspólność najkonieczniejszych potrzeb i życzeń łączy go ze współfachowcami. Partya socyalistyczna zaś na spełnienie tych bezpośrednich życzeń robotnika, tyczących się jego codziennego bytu *jako robotnika określonego zawodu,* wpłynąć potrafi dopiero wtedy, jeśli osiągnęła większość, albo przynajmniej względną chwilową przewagę w ciałach prawodawczych. Jestto wysoki stopień rozwoju, i późno bywa osiągnięty. O długie, długie lata wcześniej tymczasem robotnicy danego zawodu potrafią otrzymać chwilową przewagą w walce, nie z całą klasą panującą, lecz bezpośrednio z garstką swoich własnych przedsiębiorców. Aby im owoców zwycięztwa nazajutrz nie wydarto, robotnicy organizują się w związek zawodowy. Raz na zawsze zobowiązują się w sprawach zawodowych działać wspólnie jak jeden mąż; raz na zawsze pewna część ich dochodu zostaje poświęcona na wspólny fundusz wojenny celem walki zbiorowej. Tym sposobem potrafią oni prowadzić walkę do pewnego stopnia odrębnie od innych robotników, pracujących pod innymi warunkami, które wymagają odmiennej taktyki, potrafią więc korzystać z szczęśliwej dla walki ekonomicznej konstelacyi, egzystującej w danej chwili właśnie tylko dla tego jednego zawodu, i potrafią stawić żądania, wynikające z odrębnej natury ich pracy, a zatem częstokroć obce i niezrozumiałe dla reszty robotników, a tem bardziej dla socyalistów, do innych klas społeczeństwa należących, np. akademików — żywiołów wysoce pożytecznych, a nawet niezbędnych jako części składowe *partyi socyalistycznej,* ale wobec których związki

zawodowe, jako jedyne organizacye z natury swej *wyłącznie* robotnicze, czujnie muszą zachowywać swoją antonomię*). Zdarza się zresztą, że rozwój związków zawodowych o wiele poprzedza założenie partyi socyalistycznej, jak to jest np. w Anglii, a poczęści w Szwajcaryi; w takim razie związki zawodowe rozwijają na własną rękę czynność polityczną, stawiają żądania tyczące się rozszerzenia wolności koalicyi, urządzeń, chroniących robotników od wypadków lub też prawnego maksymalnego dnia roboczego itd. i uporczywie nacierają na polityków różnych partyi, aby używali swojego wpływu na korzyść zadośćuczynienia tym żądaniom. Czy ta presya wywarta na polityków prowadzi do skutku, to przedewszystkiem zależy od tego, czy robotnicy posiadają prawo wyborcze. Jeśli tak, to członkowie danego związku jako *liczna grupa wyborców* mogą przedstawiać potęgę, z którą politycy, a szczególnie posłowie okręgów czysto przemysłowych, liczyć się muszą. Takim sposobem związki zawodowe mogą zdobyć bardzo ważne reformy — nawet wtedy, jeśli prawo wyborcze jest udzielone tylko części robotników a stawianie własnych kandydatów wskutek wysokich kosztów wyborów itd. utrudnione**). Prawda, że prawodawstwo socyalne, powstające w ten sposób, nie odznacza się ani jednolitością, ani zbytnią konsekwencyą; składa się ono z mnóstwa specyalnych ustaw i ustaw dodatkowych, z których każda zazwyczaj odnosi się tylko do jednej gałęzi przemysłu. Przytem różne przemysły nierzadko traktowane są według zupełnie różnych, czasem wprost sprzecznych między sobą zasad. Ale zato każda ustawa zosobna sformułowaną bywa po starannem wysłuchaniu życzeń ludzi, którzy właśnie tę jedną gałąź przemysłu znają z długoletniego codziennego doświadczenia; a więc każda ustawa z osobna może być *praktyczną* i prawdziwą ulgę przynieść robotnikom***). Natomiast reformy prawne, proponowane i osiągnięte przez partyę socyalistyczną, górują nad prawniczymi wyrobami związków zawodowych tem, że są zastosowaniem jasno pojętych i (o ile można) jednolicie przeprowadzonych ogólnych teoretycznych zasad. Albowiem w przednich szeregach partyi socyalistycznej znajdują się regularnie politycy z powołania, literaci, prawnicy, lekarze, ekonomiści. słowem ludzie wyżsi od prostych robotników wykształceniem, wiedzą i szerokością widnokręgu, a przytem mający dosyć wolnego czasu na badania porównawcze, obejmujące różne gałęzie przemysłu w różnych krajach. Ale zato ci uczeni teoretycy socyalizmu zazwyczaj w żadnej gałęzi przemysłu sami nie pracowali, żadnej nie znają tak dokładnie, jak robotnik zna swoje własne zatrudnienie. Nawet dawni robotnicy, wyrobiwszy się na redaktorów lub posłów, o ile zyskują możliwość i sposobność ogólnego kształcenia się, o tyle tracą ścisłą styczność z szybko rozwijającą i zmieniająca się techniką przemysłu****). Krótko mówiąc: teoretycy nie są specyalistami, przeciwnie w każdej specyalności zosobna — dyletantami. Ustawy robotnicze, ukute przez teoretyków socyalisty-

---

*) Porównaj: August Bebel, Gewerkschaftsbewegung und politische Parteien, str. 18. — Jeśli w zaborze rosyjskim związków zawodowych niema, a strejki są kierowane bezpośrednio przez partyę, to jestto anomalia, wymuszona a przeto czasowo usprawiedliwiona przez azyatyckie stosunki polityczne caratu. Natychmiast po wywalczenie wolności koalicyi, zgromadzeń i prasy anomalia ta stałaby się szkodliwym, bo hamującym dalszy rozwój nonsensem.

**) Co do Anglii porównaj: Eduard Bernstein, Geschichtliches zur Gewerkschaftsfrage (Socialistische Monatshefte 1900, Heft VII).

***) Porównaj: Sidney and Beatrice Webb, Industrial Democracy, Part II, Chapter IV. — Tudzież Hugo Poetzsch, Neutralität oder Parteipolitik in den Gewerkschaften? (Socialistische Monatshefte 1900, Heft VIII), str. 480 — 481.

****) Porównaj: Sidney and Beatrice Webb, Industrial Democracy. Part I, Chapter II, p. 54 — 58.

cznych bez pomocy związków zawodowych, niewątpliwie mogą wyrażać zasady socyalizmu w idealnie czystej i konsekwentnej formie; ale niestety, zbyt łatwo się zdarza, że nie dosyć uwzględniają one poszczególne potrzeby robotnika pracującego w tej lub owej poszczególnej gałęzi przemysłu. Gniotą go, jak zwykłego śmiertelnika gnieść musiałby but, zrobiono na miarę idealnej nogi greckiego posągu. Z tej to przyczyny i najświatlejsza partya socyalistyczna przy swojej czynności prawodawczej koniecznie potrzebuje ustawicznego współpracownictwa związków zawodowych — i to tem bardziej, im wyżej przemysł się rozwija i specyalizuje.*)

Ale i najlepsza ustawa fabryczna może pozostać martwą literą, jeśli niema skutecznej kontroli jej przeprowadzenia. Otóż państwowi inspektorowie fabryczni nie zawsze mają dosyć dobrej woli i energii. Ale i najlepszy inspektor fabryczny nigdy nie może się dowiedzieć całej prawdy bez pomocy robotników. Pojedyńczy robotnik zaś rzadko znajduje odwagę na zawiadomienie inspektora państwowego o bezprawiach, bo wie, że ryzykuje swoją egzystencyę. Tak więc państwowa inspekcya fabryczna tam dopiero należyte daje owoce dla dobra robotników, gdzie inspektor stale posługuje się informacyami związków zawodowych**).

III.

Ale wracajmy do Niemiec. W Niemczech krocie robotników przemysłowych: górników, tkaczy, matalowców itd. uparcie lgną nietylko do *religii* katolickiej, ale i do *partyi* katolickiej. Oni to przedewszystkiem opóźniają i tamują wzrost politycznej potęgi partyi socyalistycznej. Co robić?

Przecież i katoliccy proletaryusze są wyzyskiwani. I oni cierpią od lichego zarobku, od nadmiaru i niezdrowych lub niebezpiecznych warunków pracy i t. d. A więc może zwerbować ich dla związków zawodowych?

Cóż, kiedy robotnicy katoliccy widzą, że związki te są kierowane przez znanych socyalistów, okrzyczanych jako wrogów religii; kiedy widzą i słyszą, że na przekór owemu zdaniu programu erfurckiego na zgromadzeniach związkowych i w prasie związkowej bywają rzucane obelgi przeciwko obrońcom ich wiary przeciwko religii nadewszystko im drogiej? Cóż, kiedy wobec takich faktów, w przesadny sposób im donieśionych przez katolickich księży i polityków, robotnicy katoliccy oświadczają, że sumienie im zabrania wstępu do związków zawodowych „socyalistycznych?“ Że chętnie przyłączyliby się do organizacyi ekonomicznej, gdyby była chrześciańską — ale, że nie chcą i nie mogą zdradzić swojej partyi i wiary?

Cóż robić, kiedy księża, aby obrócić na korzyść kościoła ten spór ekonomicznego interesu z religijnem przekonaniem w duszy robotników, zakładają osobne „chrześciańskie“ związki zawodowe, pozostające pod kierownictwem reakcyjnego duchowieństwa, a przeznaczone przez założycieli do osłabienia „ateistycznej“ partyi socyalistycznej i „socyalistycznych“ związków zawodowych.

Maż więc hasło: „Proletaryusze wszystkich krajów, łączcie się!“ stać się pośmiewiskiem wobec smutnej rzeczywistości? Czyliż więc związki zawodowe, dla których zjednoczenie *wszystkich* robotników danego przemysłu jest żywotną koniecznością, wciąż mają być paraliżowane przez robotników katolickich niezorganizowanych lub „zorganizowanych“ pod kierownictwem nieprzyjacieli socyalizmu?

---

*) Obacz Poetzsch l. c. — Porównaj także: Bruno Poersch, Politik und Religion in den gewerkschaftlichen Organisationen der Arbeiter (Neue Zeit, 1898–99, Nr. 13) str. 405.

**) Porównaj: Emanuel Wurm, Die Gewerbeaufsicht im Deutschen Reiche (Neue Zeit, 1899—1900, Nr. 19) str. 599.

Otóż w tem położeniu znaleźli się związkowcy, którzy właśnie zrozumieli myśl socyalistyczną, zrozumieli także, że wzniosły cel zjednoczenia *wszystkich* proletaryuszów w jedną armię, walczącą przeciwko wyzyskowi kapitalistycznemu, wart ofiary — nie zrzeczenia się socyalizmu, lecz poprostu *konsekwentniejszego niż dotąd podziału pracy* między partyą a związkami. Niech partya i nadal przyjmuje za członków wszystkich socyalistów z przekonania, bez względu na to czy są robotnikami czy nie: związki odtąd chcą gromadzić pod swoją chorągwią *wszystkich robotników*, bez względu na to, czy są socyalistami czy nie. I nadal związki zawodowe będą walczyć z przedsiębiorcami o lepsze warunki pracy, ale — *nie pod firmą partyjną*. Ci sami socyalistyczni związkowcy, którzy na zgromadzeniach politycznych i w gazetach partyjnych i na przyszłość otwarcie będą wyznawać opinię swoją względem państwa i kościoła, na zgromadzeniach politycznych i w gazetach związkowych starannie wystrzegać się będą napaści nietylko na kościół, ale i na partyę katolicką lub jakąbądź partyę, mającą stronników pomiędzy proletaryatem. Jeśli celem obrony przeciw gwałtom rządowym, albo celem osiągnięcia reform prawodawczych trzeba się będzie zwrócić o pomoc do polityków, to związki zwracać się będą za każdym razem do polityków *wszystkich partyi*. Tym sposobem robotnicy katoliccy (a także protestancko-konserwatywni i liberalni, bo i takich robotników są tysiące w Niemczech) sami będą mieli sposobność przekonania się, kto najszczerzej i najdzielniej walczy za ich sprawą, a kto im miasto chleba daje kamienie. W takiej metodzie walki leży jedyna nadzieja stopniowego pozyskania i tych zacofanych mas robotniczych najpierw dla związków zawodowych, a z czasem i dla partyi socyalistycznej.

Pierwszym związkiem zawodowym, który konsekwentnie stosować zaczął nową taktykę, jest związek górników i hutników; dzięki temu liczba jego członków potężnie wzrasta, a założony przez księży „chrześciański związek górników", który dawniej zajadłą nieprzyjaźnią swoją krzyżował i paraliżował wszelką czynność związku górników socyalistycznych, odtąd słabnie i łagodnieje i chcąc niechcąc staje się pokornym sojusznikiem potężnego związku neutralnego. Sukces ten ogromną propagandę zrobił dla idei neutralności; w tym samym sensie podziałało spostrzeżenie, że „chrześciańskie związki zawodowe" wbrew intencyi swoich założycieli coraz silniejszy pociąg czują ku związkom zawodowym robotników socyalistycznych, i że tylko religijne i partyjno-polityczne skrupuły odstraszają ich od połączenia się z nimi. Dlatego też najgłośniej wszeszczą obecnie w Niemczech przeciwko neutralizacyi — — księża, podczas kiedy przewodnicy socyalistów coraz liczniej do neutralizacyi się nawracają. Posłowie sosocyalistyczni von Elm i Legien, członkowie najwyższej centralnej władzy ruchu zawodowego w Niemczech, generalnej komisyi hamburskiej*), stanowczo popierają neutralność związków zawodowych. Popiera ją również centralny komitet niemieckiej partyi socyalistycznej. Ba, prawda tak jasno bije w oczy, że Bebel w tej kwestyi tę samą opinię głosi, co Bernstein.

Oto o co chodzi przy neutralizacyi związków zawodowych w Niemczech.

IV.

Wróćmy teraz do naszego punktu wyjścia — do nieszczęśliwego proletaryatu polskiego w Niemczech i w zaborze pruskim, w zaślepieniu słuchającego

---

*) Ta właśnie generalna komisya stoi na czele *centralnych* związków zawodowych, liczących pół miliona członków, podczes kiedy stowarzyszenia zawodowe „zcentralizowane przez mężów zaufania" (lokalorganisirte Gewerkschaften) liczebnie i moralnie prawie żadnego znaczenia nie mają. Jeśli zaś artykuł wstępny numeru 24-ego „Gazety Robotniczej" cytuje jako powagę opinję kongresiku tych zupełnie zbytecznych organizacyjek, dowodzi to, że autor owego artykułu wcale się nie zna na ruchu robotniczym w Niemczech.

rozkazów katolickiego duchowieństwa, a gardzącego „Gazetą Robotniczą“. Mojem zdaniem nie ulega wątpliwości, że to, co się tyczy niemieckich katolików w Prusiech, tyczy się tak samo i katolików polskich, skazanych na życie pod pruskiem berłem. Ich także, o ile chodzi o masy, nie o wybrane jednostki, najpierw dla praktycznej walki z kapitalizmem, a później pośrednio i dla teoryi socyalistycznej pozyskać będzie można jedynie przez neutralne związki zawodowe.

Nasuwa się tedy pytanie, czy robotnicy polscy mają tworzyć osobne związki polskie, czy też wstępować do egzystyjących związków niemieckich? Otóż nie trzeba zapominać, że związek zawodowy, to organizacya zupełnie innej natury, niż partya polityczna. Partya bez żadnej trudności w polskich okręgach wyborczych może stawiać polskich kandydatów; jest to nawet jej obowiązek. Natomiast związek zawodowy z czysto ekonomicznych przyczyn *musi* dążyć do zjednoczenia w jednej centralizacyi wszystkich robotników danego przemysłu na obszarze objętym daną granicą celną; bo właśnie ta granica celna zespala wszystkie przedsiębiorstwa danego przemysłu na obszarze przez nią objętym w jedną ekonomiczną całość, dla walki ekonomicznej. Inaczej związki są bezsilne, i wskutek rozdrabniania sił robotniczych tryumfuje zjednoczony kapitalizm. Trzeba więc stanowczo agitować za wstąpieniem polskich robotników do egzystujących związków zawodowych, stojących pod kierownictwem generalnej komisyi w Hamburgu. Tam, gdzie polacy mieszkają w znacznej liczbie, należy tworzyć osobne sekcye polskie; wszelkie sekcye złożone bądź to wyłącznie, bądź to głównie z polaków powinny w naradach swoich używać języka polskiego, a sekcye złożone z mniejwięcej równej ilości polaków i niemców powinny prowadzić narady w obu językach. Co zaś do gazety, to niezbędnem jest przedewszystkiem, aby wszyscy związkowcy wiedzieli, co się w związku dzieje. Od kompletności, przedewszystkiem zaś od *szybkości* tej służby informacyjnej zależy w znacznej części żywotność związku i gotowość jego do boju. Jasna rzecz, że „Gazeta Robotnicza“, wychodząca raz na tydzień w objętości czterech stronic, a przytem poświęcona przedewszystkiem propagandzie politycznej, służby tej w dostatecznej mierze pełnić nie może. Na zakładanie osobnych gazet zawodowych dla polaków pracujących w pojedyńczych gałęziach przemysłu zaś niestety jeszcze zawcześnie wobec maleńkiej liczby zawodowców polaków. Webec trudnej tej sytuacyi wcale racyonalną wydaje mi się uchwała komisyi generalnej hamburskiej, która niedawno postanowiła wydawać w Bytomiu *polską gazetę ogólnozawodową*. Niechaj się zgłosi na redaktora towyrzysz polak, znający również dokładnie tradycye i skłonności ludności polskiej, jak i specyalne potrzeby ruchu zawodowego — a niezadługo zdobędzie on dla nowej gazety tyle czytelników, że możliwem stanie się zastąpienie jej przez dwie lub trzy osobne gazety dla różnych grup zawodowych: dla górników i hutników, dla mularzy i pomocników mularskich itd. A jeżeli już pół tuzina takich polskich gazet zawodowych będzie wychodzić bez deficitu, wtenczas i P. P. S. w zaborze pruskim wkrótce stanie się zdolnym do życia i silnym organizmem, zamiast być jak dzisiaj, wątłym embryonem.

Dr. Władysław Gumplowicz

Z KRAJU I O KRAJU

Protesty „patryotów“ a protesty socyalistów.

Rozporządzenie pruskiego ministra Studta, rugujące polski wykład religii ze szkół w Poznaniu, wywołało znaczne poruszenie społeczeństwa polskiego w zaborze pruskim. W szerokich masach ludności polskiej zapanowało oburzenie, posypały się projekty zaradzenia złemu — projekty dość nawet radykalne. Proponowano między innemi zgłaszać dzieci jako bezwyznaniowe, ażeby się nie potrzebowały uczyć religii poniemiecku. Gdyby w Poznańskiem istniała bodaj szczupła grupka ludzi, posiadających jakiś zmysł polityczny, potrafiłaby z pewnością wyzyskać to oburzenie powszechne i, zwróciwszy je we właściwym kierunku, wykuć z niego trwałą broń. Niestety, to, co uczyniono, jeszcze raz świadczy, że wszyscy politycy poznańscy bez różnicy partyi — to skończeni bankruci i tchórze, o zagwożdżonych klerykalizmem mózgach, nie zdolni już do żadnej akcyi poważnej, mającej na celu obronę narodowości polskiej.

Po wielu namysłach, kiedy socyaliści niemieccy i polscy już odbyli szereg wieców w tej sprawie i uchwalili energiczny protest, politycy poznańscy zdobyli się na „wiec walny“, którego przebieg i uchwały wystawiają jaskrawe świadectwo nędzy moralnej i politycznej kierownikom społeczeństwa poznańskiego. A trzeba wiedzieć, że wiec ten został zwołany nie przez konserwatystów, nie przez stańczyków, skupiających się dokoła „Dziennika Poznańskiego“, ale przez „ludowców“ t. j. partyę demokratyczną.

Na wiec zebrało się bardzo dużo publiczności ze wszystkich sfer ludności miejskiej, z wyjątkiem księży, którzy świecili zupełną prawie nieobecnością. Wiec zagaił p. Andrzejewski, oświadczając, że zgromadzono się nie dla lamentu i płaczu, ale, ażeby uroczyście zaprotestować. Mówił dalej na temat, że każdy dom polski, każda rodzina polska powinny stać się fortecą. Po wybraniu prezydyum p. Mizerski podał historyę powstania reskryptu Studta, rozwodził się nad tem, jak „ciężko obrażony został Najprzewielebniejszy ks. Arcybiskup“ i wyraził ufność, że „ks. Arcybiskup, jako naturalny obrońca Kościoła, niczego nie zaniecha, występując w obronie naszej“. Po nim panna Omańkowska oświadczyła, że w duchowieństwie szukać mamy oparcia wobec reskryptu ministeryalnego, który zacieśnił węzły łączące lud polski ściśle z duchowieństwem, szczególniej od czasu walki kulturalnej. Kościół i dom polski to twierdze, których nikt nie zdobędzie. W tym samym duchu brzmiały i inne mowy. Napróżno tow. Haase kilkakrotnie zgłaszał się do prezydyum, chcąc przemówić w imieniu robotników-socyalistów, nie udzielono mu głosu. Ma się rozumieć, że mowa socyalistyczna, otwarta, energiczna, nazywająca rzeczy po imieniu, nie oszczędzająca zdrajców i niedołęgów, dziwnie by brzmiała na zgromadzeniu dziadów politycznych, którzy uchwalili osobliwego nabożeństwa „protest“, przesiąknięty klerykalizmem i wiernopoddańczością pruską. Zajmujące są powody, dla których wniesiono ów protest:

1) Rozporządzenie p. ministra sprzeciwia się prawu Bożemu przyrodzonemu. Od Boga otrzymaliśmy prawo mówienia i modlenia się we własnym, od Niego nam danym języku ojczystym.

2) Rozp. p. min. sprzeciwia się słowom Jegomości Króla Fryderyka Wilhelma III, który nas Polaków wziąwszy pod opiekę (!!) swoją, uroczyście poręczył nam był zupełną swobodę i wolność używania języka ojczystego.

3) Rozp. p. min. krzywdzi nas w dzieciach naszych, wyzyskuje tychże niemoc wieku dziecięcego, oraz przymusowy obowiązek uczęszczania do szkoły rządowej.

4) Rozp. p. m. odbiera dzieciom naszym możność religijnego wychowania, bo nauka zasad religii św. w niezrozumiałym — obcym — języku nie może dać żadnych religijnych podstaw — a rzuca je na pastwę przewrotu (to znaczy socyalizmu).

5) Rozp. p. m. ubliża świętości wiary rzymsko-katolickiej, która jest dziełem Boskiem, więc do celów politycznych nadużywaną oyć nie powinna.

Takie to powody skłoniły polskich patryotów, uznających zaborców za „opiekunów“ i bojących się nie germanizacyi, tylko socyalimu, do protostu!

Jeszcze kilku mówców plotło koszałki-opałki w tym samym duchu, w końcu wzniesiono trzykrotny okrzyk na cześć arcybiskupa, wysłano telegram do papieża, jeszcze raz uczczono okrzykiem arcybiskupa zupełnie niewiadomo z jakiego powodu i wiecownicy się rozeszli.

Epilog wiecu odbył się w pomieszkaniu arcybiskupa Stablewskiego, dokąd udała się delegacya wiecowa z petycyą. Charakterystyczna jest odpowiedź arcybiskupa, w której niema ani słówka o polskości, są tylko same frazesy klerykalne. Stablewski też wspomniał o „wrogu dusz naszych, który do wywrotu porządku Bożego i społecznego pragnie was zwodniczo pociągnąć hasłami ponętnemi“.

Niewymownie smutne wrażenie pozostawia cała ta szopka bezsensowna, szumnie nazwana „wiecem protestacyjnym“. Że z takich protestów ministrowie pruscy nawet już kpić nie potrzebują, zbytecznem by chyba było dodawać.

Z pocieszeniem jednak musimy zaznaczyć, że i w tym nieszczęśliwym zaborze pruskim zaczyna już świtać. Stanowisko socyalistów polskich, zajęte w sprawie reskryptu Studta na zgromadzeniach w Berlinie, Bremie, Delmenhorst. Hamburgu i Wilhelmsburgu świadczy wymownie, że proletaryat polski już się obudził, że rozumie swoje obowiązki względem kraju. Co prawda, możemy to mówić dotychczas jedynie o robotnikach polskich, rozproszonych w Niemczech, ale — nie odrazu Kraków zbudowano — jeszcze nieco wysiłków, a socyalizm stanie się poważnym czynnikiem i w samym zaborze pruskim. Charakterystyczną wskazówkę w tym kierunku daje zwłaszcza przebieg wiecu bierlińskiego i ten strach, jaki opanował burżuazyjne pisma polskie wobec „grożącego niebezpieczeństwa“ socyalizmu.

Na polski wiec ludowy, zwołany przez naszych towarzyszy 2 września w Berlinie, zebrało się około tysiąca polaków, w większości nie socyalistów. Po zagajeniu wiecu przez tow. Merkowskiego, tow. Morawski omówił znaczenie reskryptu Studta i stosunku do niego różnych partyi. Po nim zabrał głos tow. J. Haase, który w świetnej $1\frac{1}{2}$ godzinnej mowie, ustawicznie przerywanej burzliwymi oklaskami, poddał wyczerpującej krytyce tak postępowanie rządu pruskiego względem polaków, jak i zachowywanie się partyi polskich w Prusach. Następnie wyłuszczył zapatrywania socyalistów na sprawę narodową i zaproponował następującą rezolucyą, jednogłośnie z zapałem przyjętą: „Polacy i polki, zgromadzeni dn. 2 września 1900 r. na zebraniu ludowem w Berlinie oświadczają: Żyjąc na obczyznie. nie chcemy nigdy zapominać o węzłach, które nas z krajem naszym łączą. Lud polski na emigracyi nie zapomina o swych braciach w stronach ojczystych. Krzywda, im poczyniona, jest i naszą. Do walki, im brutalnie narzuconej, i my przystępujemy. Dlatego protestujemy głośno i energicznie przeciwko rozporządzeniu pruskiego ministra oświaty w sprawie języka polskiego. Ukaz ten sprzeciwia się zasadom sprawiedliwości, równouprawnienia, a przedewszyskiem wszystkim urzędowym przyrzeczeniom pruskim, nam w czasach porozbiorowych danym. Nawołujemy wszystkich braci na obczyźnie do energicznej walki przeciwko rozhukanej polityce hakaty. Dla dzieci ludu polskiego wymagamy polskiej nauki w polskich szkołach. Tylko takie szkolnictwo może wykształcenie ludowe podnieść. Walka nasza przeciwko hakacie

musi się odgrywać na polu rodzinnem i publicznem. Wychowanie rodzinne musi być silnym murem przeciwko wszystkim zakusom germanizacyjnym. Na polu zaś publicznem musimy poznać, że rządy zaborcze interesom ludu polskiego nie odpowiadają. Dlatego polityka ludu polskiego musi być przeciwko wszystkim trzem rządom zaborczym skierowana. Polityka ugodowa względem rządów zaborczych jest zdradą narodu. Braciom naszym, walczącym przeciwko kozackiej przemocy barbarzyńskiego rządu moskiewskiego, przesyłamy nasze najgorętsze sympatye".

W dyskusyi zabrał głos p. Gulcz, oświadczając, że nie jest socyalistą, jednak z wywodami prelegenta zupełnie się zgadza. Napiętnował dalej politykę „Koła" i krętackie postępowanie centrum.

P. Felsman, również nie socyalista, żąda, ażeby na przyszłość polacy szli ręka w rękę z socyalistami. Wyrzucał polakom, że nie głosowali za Liebknechtem podczas wyborów do parlamentu.

To sympatyczne przyjęcie mów i rezolucyi socyalistycznych przez niesocyalistów, ogromnie zaniepokoiło prasę poznańską. „Dziennik Kujawski" oświadczył że mu hakatyści są milsi niż socyaliści, a „Gazeta Gdańska" jęła błagać rząd pruski o pomoc przeciw socyalistom. Najciekawszem jest jednak stanowisko prasy t. zw. „ludowej".

„Orędownik" zaznacza, że „mówca mówił z prawdziwie młodzieńczym zapałem, a używał tak trafnych przykładów, że publiczność, porwana ciepłem słów jego, co chwila obsypywała mówcę burzliwywi oklaskami... świetne było zakończenie itd". Ale jednocześnie pisze co następuje: „Tylko trzeba pamiętać, że sosyaliści polscy *zadarmo* tego nie robią... Socyaliści polscy równocześnie skierowali swe działa na niedzielnym wiecu i przeciw Rosyi, przeciw carowi, przeciw carskiemu barbaryzmowi... Skąd się wziął car rosyjski — przy pruskim ministrze oświaty? To jest oczywiście obrachunek socyalistów polskich. Niby tu bronią... a równocześnie szczują na cara..."

P. Dr. Szymański, redaktor „Orędownika" niegdyś z wielkim skutkiem pełnił obowiązki szpicla pruskiego. Czyżby zmienił pracodawcę?

Swoją drogą zgromadzenie berlińskie i inne, na których z równem powodzeniem referował tow. Haase, stały się głośnemi. Społeczeństwo poznańskie dowiedziało się, jakie stanowisko w sprawie narodowej zajmują socyaliści, i dużo uprzedzeń musiało pierzchnąć. Pokazało się, że ta droga niechybnie prowadzi do celu, a agitacya, w ten sposób prowadzona na gruncie krajowym, musi przynieść plon obfity.

* * *

Koncentracya opozycyi galicyjskiej.

Zerwanie z centralnym komitetem wyborczym, o którem pisaliśmy w Nr. 7 „Przedświtu", było wstępem do szerszej akcyi politycznej, mającej doprowadzić w dalszym rozwoju do koncentracyi opozycyi, a więc do urzeczywistnienia hasła, rzuconego poraz pierwszy przez tow. Daszyńskiego w jego broszurze: „Szlachetczyzna a reformy". Poważnym objawem procesu wyjarzmiania się demokratów z pod wpływów partyi stańczykowskiej, której przez długie lata oddawali lokajskie usługi (Szczepanowski, Rutowski, Lewicki itd.), był zjazd demokratów do Lwowa 22 sierpnia.

W lwowskiej sali ratuszowej zebrali się demokratyczni posłowie sejmowi i parlamentarni i mężowie zaufania stronnictwa z różnych stron kraju. Ogółem przybyło 80 zaproszonych. Zgromadzenie było poufne.

Z posłów sejmowych i parlamentarnych przybyli: Romanowicz, Soleski, Jahl, Stwiertnia, Vayhinger, Rotter, Dulęba, Znamirowski, Lewicki, Rutowski i Słotwiński.

Prócz tego między innymi w zjeździe udział wzięli pp.: prof. dr. Bujwid, Rewakowicz, redaktor „Kuryera Lwowskiego“, Konopiński, redaktor „N. Reformy“ i w. i.

Ogółem na zgromadzeniu były reprezentowane wszystkie okręgi wschodniej i zachodniej Galicyi.

Obrady zagaił Romanowicz, dając charakterystykę dotychczasowej działalneści stronnictwa demokratycznego, zwłaszcza w ostatnich 5 latach. Podniósł doniosłość wniesionej w sejmie przez klub demokratyczny reformy wyborczej, co spowodowało ustąpienie z klubu 6 posłów, którzy byli zawsze raczej hamulcem dla naszej demokracyi w pracy społecznej, aniżeli jakąkolwiek pomocą. Klub przez to zyskał na zewnątrz na śmiałości, a na wewnątrz na jednolitości.

Głównym błędem posłów demokratycznych był dotychczas brak łączności z krajem i brak silnej partyjnej organizacyi. Naprawa tego stanu rzeczy, zapełnienie luk wspomnianych, oto najbliższe zadanie i najbliższy cel stronnictwa. Dzisiaj trzeba karnie i solidarnie a energicznie iść naprzód w porozumieniu z innemi stronnictwami demokratycznemi, a karności i solidarności uczyć się na przykładzie konserwatystów.

Po wyborze prezydyum zabrał głos poseł dr. Tadeusz Rutowski i przedstawił zebranym projekt programu stronnictwa, przygotowany na to zebranie przez komitet. Kulminacyjnym ustępem programu są następujące trzy punkty:

1) Łączność i porozumienie w działaniu z innemi stronnictwami demokratycznemi w kraju i z ich posłami w sejmie i w parlamencie, o ile stoją na gruncie narodowym.

2) Zerwanie z t. zw. centralnym komitetem wyborczym.

3) Potrzeba solidarności Koła polskiego w Wiedniu.

Referent, prosząc zebranych o uchwalenie rezolucyi, podniósł, że doprowadzające kraj do rniny oligarchiczne rządy konserwatywnej kliki wprost zmuszają stronnictwa demokratyczne a narodowe do koalicyi,

Nad programem tym rozwinęła się ożywiona dyskusya. Wszyscy bez wyjątku mówcy zgadzali się na treść jego, ale też wszyscy, z wyjątkiem dwu, atakowali postawienie w formie dogmatu partyjnego bezwarunkowej solidarności Koła polskiego w Wiedniu. Ta solidarność służy tylko do bezwzględnego majoryzowania posłów domokratycznych, ale konserwatyści, jeśli im jest niewygodna, wcale o nią nie dbają.

W tym duchu przemawiali: Dwernicki, Seinfeld, Hibel, Kostkiewicz (z Wieliczki) i Adamowski.

Za warunkowem utrzymaniem zasady solidarności w Kole polskiem przemawiali Bujnowski (z Pilzna) i radzca Jaworski (z Jasła),

Wobec tak zaznaczonej opinii zebranych, Biechoński postawił następujący wnios k.

„Zjazd uchwali wezwać posłów demokratycznych w Radzie państwa, aby w „Kole polskiem“ zażądali zmiany statutów. Jeżeliby ta zmiana nie przyszła w pewnym określonym czasie do skutku, a nowe wybory do rady państwa zostały zarządzone, natenczas prezydyum dzisiejszego zgromadzenia, względnie zarząd stronnictwa demokratycznego, zwoła nadzwyczajne zebranie do Lwowa, tylko dla naradzenie się, pod jakiem hasłem wybory do Rady państwa odbyć się mają“.

Konopiński zwrócił uwagę na sprzeczność w projekcie programu stronnictwa, jaka powstała stąd, że projekt ten postanawia zerwanie z sejmowym centralnym komitetem wyborczym, lecz wybranym poza tym komitetem swoim posłom każe poddać zdrową głowę pod ewangelię i oddać się pod terororyzm większości konserwatywnej w „Kole polskiem“.

I w tem jeszcze jest sprzeczność, że poleca się naszym posłom iść łącznie

z innymi posłami narodowo-demokratycznymi, stojącymi poza „Kołem“, a w „Kole“ każe się im utrzymywać bezwzględną solidarność z większością konserwatywną, rujnującą kraj, przeciw której rządom walka się już rozpoczeła i ze strony owych innych stronnictw demokratycznych i ze strony stronnictwa naszego. Te sprzeczności dowodzą jasno, że utrzymania solidarności poselskiej w Wiedniu na dotychczasowych podstawach uznać i polecać nie można.

Jeżeli jednak konserwatystom szczerze chodzi o utrzymanie solidarności „Koła polskiego“, a nie o teroryzowanie i majoryzowanie przeciwników, to niechaj skorzystają z furtki, jaką im nastręcza wniosek Biechońskiego. Ten wniosek to ostatnia próba, aby konserwatystom dać możność szczerego zachowania prawdziwej solidarności w „Kole polskiem“. Jeżeli ona spełznie na niczem, to wtedy odpowiedzialność za obalenie solidarności spadnie nie na nas, ale na nich, oni będą winowajcami.

Przemawiał jeszcze poseł Soleski, który poparł myśl poprzedniego mówcy, poczem referent dr. Rutowski szczegółowo odpowiadał mówcom, atakującym dotychczasową solidarność „Koła polskiego“ w Wiedniu.

W głosowaniu jednomyślnie przyjęto program stronnictwa demokratycznego według przedłożonego projektu, wraz z wnioskiem p. Biechońskiego, odrzucającym solidarność „Koła polskiego“.

Romanowicz referował następnie o partyjnej organizacyi stronnictwa demokratycznego. Mówca w imieniu Komitetu zaproponował, aby zarząd stronnictwa składał sie z 10 członków, z pomiędzy posłów jego wybranych, i 10 mężów zaufania, w połowie z lwowskich a w połowie z krakowskich okręgów. Do tego wydziału ma także należeć prezydyum klubów demokratycznych w sejmie i w Radzie państwa.

W głosowaniu przyjęto wszystkie wnioski p. Romanowicza.

Poseł Lewicki mówił o porozumieniu z innemi stronnictwami demokratycznemi w kraju, o ile stoją na gruncie narodowym.

Walka z większością konserwatywną, która rządami swymi doprowadza kraj do ostatecznej ruiny, stała się dziś nieuchronną. W tym celu konieczną okazuje się potrzeba łączności pomiędzy stronnictwami opozycyjnemi. Porozumienie stronnictwa demokratycznego z polskimi ludowcami jest już faktem dokonanym*) (Huczne oklaski ze wszystkich stron sali). Teraz kolej przychodzi na Potoczkowców i na t. zw. Stojałowczyków. Owoż co do tych ostatnich porozumienie jest możliwe, ale nie z ich przywódcą.

Referent przedłożył zgromadzeniu następujące wnioski :

1) Zjazd z żywem zadowoleniem przyjmuje do wiadomości dokonanie porozumienia z polskiem stronnictwem ludowem i poleca Wydziałowi wykonawczemu : a) utrzymywać stałą łączność ze stronnictwem ludowem w sprawie wspólnej akcyi politycznej : b) nawiązać łączność także z innemi stronnictwami demokratycznemi, stojącemi na gruncie narodowym.

---

*) Dzienniki galicyjskie podały następujący tekst umowy demokratów z ludowcami :

Przeświadczeni, że nieodzowne reformy na wszelkich polach życia publicznego skuteczniej dadzą się osiągnąć, a przemożny wpływ koalicyi stronnictw konserwatywnych łatwiej da się zwalczyć. jeżeli stronnictwa postępowe do tych celów dążyć będą w porozumieniu — postanawiamy :

„Stronnictwo ludowe i stronnictwo demokratyczne, w niczem swej autonomii partyjnej nie uszczuplając. zawierają sojusz, mocą którego będą — ilekroć zajdzie potrzeba — porozumiewać się ze sobą i współdziałać.

Zakres możliwego współdziałania ma obejmować zarówno sprawy ściśle polityczne, jak i wszelkie inne sprawy użyteczności publicznej.

Organem dła porozumiewania się będzie komisya między-partyjna“.

2) Zjazd ubolewa nad secesyą z sejmowego klubu demokratycznego, jako nad objawem ujemnym ze względu na interes narodowej demokracyi i na interes kraju.

W dyskusyi, jaka się nad tym referatem rozwinęła, poruszono kwestyę stosunku stronnictwa narodowo-demokratycznego do polskiej socyalnej demokracyi. Uznali wszyscy, że o stałym sojuszu z tem stronnictwem nie może być mowy — bo zresztą, onoby samo sojuszu takiego nie zawarło. Ale — prócz paru głosów — powszechnie objawiła się zmiana w tym duchu, iż już się dziś nie uważa socyalistycznego stronnictwa za jakiegoś stracha, którego się ma w koło obchodzić i doknięcia go unikać jak dyabeł święconej wody. Do tej zmiany w wysokim stopniu przyczynia się stanowisko i działanie polskiej partyi socyalistycznej w Królestwie.

Dr. Lewicki oświadczył, że chodzi tylko o porozumienie co do taktyki wspólnej w niektóryah kwestyach, w jakich poglądy obu stronnictw są jednakie. Przytem jednakże stronnictwo demokratyczne ani na włos nie odstąpi od swoich zasad.

W głosowaniu przyjęto jednogłośnie i bez zmiany wszystkie wnioski zaproponowane przez referenta dr. Lewickiego.

Po godzinie 9 wieczorem przewodniczący zamknął obrady.

Jak już zaznaczyliśmy, zjazd ów uważamy za objaw poważny w życiu politycznem Galicyi, ale jestto dopiero krok pierwszy, po którym muszą pójść dalsze. Nie podobna unosić się nad tym faktem, bo stanowi on tylko wstęp do rzeczywistej akcyi politycznej. Znając dobrze ludzi, rej wodzących obecnie w stronnictwie demokratycznem, mimowoli niedowierzamy im, tem bardziej, że i ten pierwszy krok cechuje pewna połowiczność — nie uchwalono np. jasno i dobitnie, że żaden demokrata nie może do „Koła" należeć, wolano się bawić w jakieś żądania zmiany statutów „Koła", jak gdyby już zgóry nie wiedziano, że próby te będą najzupełniej jałowe. Musimy też przyjąć pod uwagę i wszystkie te trudności, jakie się piętrzą przed demokratami, którzy podjęli tę akcyę w dobrej wierze, uczciwie, nie ze względu na zaasekurowanie mandatów wobec zbliżających się wyborów. Presya rządowa, wywierana na osobach, zależnych w jakikolwiek bądź sposób od kliki szlachecko-klerykalnej, prześladowania, jakie posypią się na demokratów, ujadanie pism klerykalnych — wszysko to bezwątpienia osłabi i tak nie tęgie siły opozycyi demokratycznej. Oto przykład: w pracach, poprzedzających i przygotowujących zjazd, bardzo żywy udział brali — prezydent Lwowa — Małachowski i wiceprezydent — Michalski, a jednak wystarczyło paru pogróżek z namiestnictwa, ażeby obydwaj ci panowie, a wraz z nimi wszyscy przedstawiciele mieszczaństwa lwowskiego usunęli się i nie wzięli udziału w zjeździe... Takich dezerterów będzie napewno i więcej...

Stanowisko naszej partyi wobec odrodzonych demokratów scharakteryzował tow. Daszyński na wielkiem zgromadzeniu ludowem, które się odbyło w Krakowie 8-go września. Mówił on:

„My pierwsi zaczęliśmy w Galicyi walkę ze stańczykami, którą od lat już toczymy; demokraci poszli dopiero za naszym przykładem; nie mogą więc i nie mają prawa narzucać się na jakichkolwiek kierowników, lecz wprzód słuchać muszą, czego lud chce. Cel tego ludu jasny: dążyć do niepodległości narodu, do tego, by ten naród był panem u siebie i sam się rządził. Na drodze do osiągnięcia tego celu stoi nam przewaga szlachecka, która ma prawie wszystkie mandaty. Dopóty więc celu naszego nie osiągniemy, dopóki nie złamiemy przewagi szlacheckiej za pomocą powszechnego głosowania. Tylko wtedy zatem możliwym jest sojusz z demokratami, jeżeli będą domagali się powszechnego prawa głosowania. Dopokąd takich żądań demokraci nie postawią, nie mogą

nazywać się prawdziwymi demokratami, będą tylko śmieszni. Nam nie potrzeba maroderów i ciurów, którzy w las uciekają przed bitwą. Demokraci pracować powinni nad mieszczaństwem tak, aby jezuiccy fagasi nie wybijali się na wierzch. Dziś mieszczanie rękodzielnicy domagają się organizacyi, zrywają się do walki o lepsze jutro; jeżeli ich nie wesprą demokraci, to rzucą się oni w objęcia ciemnych klerykałów i antysemitów. Nie dla nas, robotników, potrzebna jest walka o reformę wyborczą, bo my ją sobie sami zdobędziemy, jeżeli nie prawem, to przemocą, ale dla mieszczan. Mimo tego, że w obecnych warunkach sojuszu z demokratami nie zawrzemy (co prawda, nie bardzo oni nas do niego zapraszali), to jednak specyalnej walki z nimi toczyć nie chcemy. Pod hasłem „zjednoczenie opozycyi“ rozpocząć się musi walka przeciwko szlachcie, klerowi i rządowi“.

Co do innych „demokratycznych“ stronnictw, to niewiadomo, jak daleko posunęły się rokowania demokratów ze stojałowczykami np. Demokraci oświadczyli, że za żadną cenę nie mogą się łączyć ze Stojałowskim jako z moskalofilem; co innego chłopi stojałowczycy — z tymi paktować należy. Rzecz bardzo charakterystyczna, że nawet organ braci Potoczków „Związek Chłopski“, wypowiadający opinię najbogatszej części chłopów, idących dotychczas za stańczykami, pisze co następuje: „Rzuciliśmy myśl, że w walce ze stańczykami wolno zawrzeć sojusz nawet z socyalistami. Ozwały się zarzuty przeciw temu. Oznajmiamy, że katolickie stronnictwo centrum w Niemczech także zawierało sojusze z socyalistami w Bawaryi. To jest fakt. Trzeba wiedzieć, czego się chce, a wtedy będzie się wiedziało, którędy droga. Sojusz do walki przeciw wspólnemi nieprzyjacielowi nie znaczy wspólności zasad. Przeciw pruskim krzyżakom, którzy byli zakonem chrześciańskim, walczyli polacy w spółkę z pogańskimi tatarami“.

Kiepskie czasy dla stańczyków, kiedy już tak potulne niedawna ich sługi do poczynają się buntować!

* * *

Powyższa notatka była już złożona, kiedy nadeszły nowe wiadomości, potwierdzające nasze przypuszczenia co do trudności, piętrzących się na drodze wyjarzmiania się demokracyi z pod wpływów stańczykowskich. Utworzyły się mianowicie dwie grupy secesyonistów, wyrzekających się jak dyabła nowego programu demokratów i wszelkich zamiarów walki ze stańczykami. Obie te grupy zamieściły w pismach długie a bałamutne oświadczenia, motywujące ich wystąpienie przeciwko demokratom „odrodzonym“. Pierwsze oświadczenie podpisał między innymi dr. August Sokołowski, były kierownik „Nowej Reformy“, człowiek, który brał aż do ostatniej chwili udział w robotach przygotowawczych do „odrodzenia“ demokracyi i zerwania wszelkich węzłów ze stańczykami. Drugi podpisało prezydyum lwowskiej rady miejskiej (Małachawski, Michalski itd.). W ten sposób grupa „odrodzonych“ demokratów ma całkiem wolne ręce. Zobaczymy, czy wystarczy jej odwagi do prowadzenia walki w raz obranym kierunku.

* * *

Sąd wojenny.

Korespondent warszawski „Nowej Reformy“ podaje garść szczegółów, odnoszących się do sprawy towarzyszy Świderskiego i Woźniaka. Przedrukowujemy je, nie biorąc na siebie odpowiedzialności za dokładność przedstawienia omawianych tu faktów:

„Ks. Imieretyński, dla oczyszczenia swych corocznych raportów z socyalizmu, ściganego przez żandarmów, postanowił socyalistów zmódz szubienicą i samem już szubienicy widmem. Sprawy kryminalne na tle s ali tycznem oddaje teraz sądom doraźnym, polowym, wojennym, jak w stanie lub

leżenia. Ani z własnemi postanowieniami swemi, ani z działalnością żandarmów i sądownictwem wojskowem już się teraz nie tai, i owszem ogłasza i zapowiada czyny tej sprawiedliwości, aby ogromem przewidywanej kary przerazić, a przerażeniem samą organizacyę rozluźnić, jeśli nie rozbić.

Najpierwsza sprawa w tych obostrzonych warunkach odbyła się przed sądem wojennym warszawskim we czwartek ubiegłego tygodnia dnia 9 sierpnia. Sądowi temu „wydał" książe Imieretyński do wymierzenia kary dwóch przestępców, Świderskiego i Woźniaka, którzy w ostatnim dniu lutego bieżącego roku w Warszawie, z pomocą niewykrytego współuczestnika, zgładzili ze świata niejakiego Grzeszczaka, majstra z fabryki Wyszyckiego. Żandarmi stawili obu sprawców przed sądem. jako należących do Polskiej Partyi Socyalistycznej (P.P.S.) Audytoryat wojskowy nie znalazł dowodów, stwierdzających taki ich charakter: w ostatniej wszakże chwili na żądanie prokuratora do aktu oskarżenia wprowadzono i ten punkt wielce obciążający; według bowiem samego ogłoszenia, zapowiadającego odbycie sądu. jednym z celów Polskiej Partyi Socyalistycznej ma być obalenie ustroju państwowego carstwa rosyjskiego. Sądzonym wojennie nie doręczono wcale aktu oskarżenia, bo wprawdzie sąd go dla nich wydał, ale żandarmerya go do rąk ich nie dopuściła. Kiedy w samem już postępowaniu przed sądem obwinieni wnieśli z tytułu niedoręczenia excepcyę, sąd, uczyniwszy już jedno ustępstwo, dla prokuratora, za którym stał książe Imieretyński, zrobił potem drugie, dla żandarmeryi. Na obrońcę z urzędu narzucono obwinionym jakiegoś kapitana, który miał sposobność obeznać się ze sprawą: nie ufali mundurowi i woleli obronę przez cywilnego, polaka. Wyboru nie tamowano. Z podanych nazwisk obaj wybrali adwokata Szymańskiego; ale, gdy akty sprawy do tak wybranego obrońcy doszły dopiero w wigilię rozprawy sądowej i gdy niemożność gruntowego jej poznania stała się jasną, obaj — Świderski i Woźniak, podjęli odrzuconą na razie propozycyę i poprosili o dodanie im, w charakterze drugiego obrońcy, owego kapitana, zaproponowanego w samym początku przez urząd sądowy. Prośbę tę odrzucono po przemówieniu prokuratora, który w tym sądzie cieszył się, jak widać, stałem powodzeniem.

Sąd przesłuchał przeszło czterdziestu świadków i biegłych, a w tej drugiej kategoryi przedewszystkiem żandarmów jako biegłych w polityce — i w socyalizmie. Badanie dostarczyło dowodów spełnionego czynu i osobistej niechęci między zabójcami a ofiarą; ale nie dało najmniejszych nawet faktów do przekonania, że obaj są członkami Polskiej Partyi Socyalistycznej.

Daremnie wysilał się był prokurator, daremnie po nim wysilała się „biegła" żandarmerya; dowodów nie było. I sam Świderski i jego obrońca z urzędu wskazali pobudkę czynu w zemście za oskarżenie, rzucone przez Grzeszczaka wskutek którego późniejszy sprawca zabójstwa dwa tygodnie w więzieniu jako podżegacz do bezrobocia przesiedział. Żandarmerya usiłowała dowieść, że nie zemsta, ale rozkaz komitetu Polskiej Partyi Socyalistycznej uzbroił ręce w mordercze narzędzia. Twierdzenie było tylko czczem domniemaniem, tak dalece, że gdy obrona zapytała „biegłego" o sumę dowodów, przyznał, że ani jednego czarno na białem dać nie może, ale — „takie" ma przekonania. Inny żandarm, drugi po tym pierwszym, przywiózł do sądu całą pakę różnych druków, przeważnie londyńskich, żadnej styczności ze sprawą nie mających, i odczytywaniem ich chciał wyrobić w sądzie „takie" przekonanie. Do druków dodała żandarmerya i list już po czynie do jednego z fabrykantów warszawskich napisany, a przyjmujący zabójstwo na rachunek całego stronnictwa P. P. S. Ani ów akt oskarżenia, w ostatnej chwili podskrobany, ani te żandarmskie dowodzenia nie zdołały przekonać sądu, nawet doraźnego, który przecież z doraźnością musi łączyć i namiętność. Czyn utracił charakter przestępstwa politycznego i przewidywać więc było można i należało wymiar kary nie w tym najwyższym zakresie,

który dla sądów wojskowych podczas wojny stanowi normę zwykłą. Oczekiwania zawiodły. Daremnie obrońca ostrzegał sędziów, aby pamiętali, że krew rodzi krew. Gdy już po północy w piątek d. 10 b. m. sąd wrócił z sali narad do sali posiedzeń, obaj obwinieni skazani już byli na śmierć przez powieszenie; postanowiono ich tylko zalecić do łaski — zapewne samego księcia Imieretyńskiego, jako głownodowodzącego wojskami w okręgu warszawskim. Od piątku o działaniu tej łaski jeszcze nie słychać.*) Kiedy po wyroku do Świderskiego, jako skazanego na śmierć, zwrócono się z zapytaniem: czy czego nie chce? — odpowiedział: „Powiedźcie, żeby tak nie uciskali ludu".

Rozprawy sądowe odbywały się w dawnym domu Andrzeja Zamojskiego przy Nowym Świecie, tym samym, z którego w roku 1863 dokonano zamachu na Berga; rozpoczęte o godz. 11-stej zrana we czwartek, skończyły się dopiero o 1-ej nad ranem w piątek. Sala była natłoczona, przeważnie wojskowymi, a wyłącznie Rosyanami. Żandarmerya stawiła się in corpore. Wśród widzów zauważono p. Arystowa, prezesa Izby sądowej warszawskiej, i p. Wasiljewa, jej prokuratora, następcę p. Turaua. Sam książe z gorączkowym niepokojem śledził bieg sprawy; w godzinach południowych był osobiście w sądzie; później trzymał w sali sądowej stałego sprawozdawcę, jakiegoś pułkownika, który go co pewien czas raportami odręcznymi zawiadamiał, co i jak się dzieje".

* * *

Komunikat urzędowy.

Dnia 9 i 10 września warszawski wojenny sąd okręgowy rozpatrywał dwie sprawy, w których oskarżonymi byli oddani pod sąd przez dowodzącego wojskami okręgu warszawskiego następujący mieszczanie: Piotr-Paweł Czerwiński (lat 21) i Konrad-Stanisław Jeziorowski (lat 23), oraz włościanie: Aleksander Mrozik (lat 25), Józef-Władysław Krawczyk (lat 21), Stanisław Gliński (lat 19), Andrzej Rutkowski (lat 23) i Józef Karcz (lat 26). Sąd wojenny uznał: 1) wszystkie wyżej wymienione osoby za winne należenia do tajnej polskiej partyi socyalistycznej, mającej na celu obalenia istniejącego ustroju państwowego i ekonomicznego, i 2) Czerwińskiego za winnego dokonania w celach tejże partyi zabójstwa na osobie majstra w fabryce Pelcera w Częstochowie, Józefa Szancenberga; innych zaś podsądnych: Jeziorowskiego, Mrozika, Krawczyka, Glińskiego, Rutkowskiego i Karcza — winnych dokonania w celach tejże partyi, po porozumieniu się wzajemnem, premedytowanego zabójstwa na osobie maszynisty kopalni „Fanny" w pow. będzińskim, Jana Mazura. Wskutek tego wojenny sąd okręgowy postanowił: wszystkich oskarżonych skazać na karę śmierci przez powieszenie z pozbawieniem ich praw stanu. Jego Cesarska Mość d. 13 września Najmiłościwiej rozkazać raczył: karę śmierci zamienić na zesłanie do ciężkich robót: Jeziorowskiego bez terminu, Czerwińskiego, Rutkowskiego i Glińskiego na 20 lat każdego, Karcza, Mrozika i Krawczyka na 15 lat każdego, z pozbawieniem skazańców wszystkich praw stanu.

* * *

Warszawa, wrzesień.

Wiecie już ze źródeł urzędowych o zapadłym wyroku w sprawie zabicia szpiegów w Częstochowie i Dąbrowie Górniczej. W Sobotę 22-go odbył się sąd nad tow. Czerwińskim, a 23-go nad tow. Konradem Jeziorowskim, Mrozikiem, Rutkowskim, Karczem i dwoma zdrajcami: Krawczykiem i Glińskim. Trybunał składał się z czterech półkowników pod przewodnictwem Strelnikowa, który w r. 1886 przewodniczył podczas procesu „Proletaryatu". Audotoryum stano-

---

*) Jak już nasi czytelnicy wiedzą „ułaskawiono" ich na wieczną katorgę. *Red*

wili jenerałowie, prokuratorzy, sędziowie, wyżsi oficerowie, prawnicy-wojskowi, redaktor „Warszawskiego Dniewnika“ Timanowskij, nareszcie trzy matki oskarżonych : Jeziorowska, Mrozikowa i Rutkowska oraz ojciec Glińskiego. Powołano wielu świadków — tak z więzienia, jak i z wolności.

Tow. K. Jeziorowskiego bronił adwokat Patek, który wypowiedział świetną, głęboko odczutą mowę obrończą. Natomiast adwokat Szymański (obrońca tow. Mrozika i Rutkowskiego) zachowywał się wprost niegodziwie, a obronę wygłosił tak, jak gdyby chciał udowodnić, że go cała ta sprawa nic a nic nie obchodzi. Nie przeszkodziło mu to wziąć od matek, pragnących uratować swe dzieci, 200 rubli, zdobytych kosztem sprzedania ostatniego dobytku — maszyny, pościeli itd. Bez porównania przyzwoiciej już zachował się wojskowy obrońca z urzędu.

Zdrajcy Krawczyk i Gliński i na sądzie zachowywali się tak samo wstrętnie, jak i podczas śledztwa, mówiąc nie tylko o tem, co wiedzieli, ale i o tem, co do czego mieli jedynie przypuszczenia, rzucając oskarżenia na prawo i na lewo. Krawczyk wplątał około 200 osób. Reszta oskarżonych i świadków zeznawała uczciwie. Gdy przyszło do obrony osobistej, tow Jeziorowski wygłosił długą, prawie godzinną mowę, którą skończył, zaznaczając, że nie prosi dla siebie o przebaczenie.

Wyrok śmierci na wszystkich siedmiu ogłoszono o godz. 12½ w nocy. Na sali zrobił się tumult, powstały krzyki, złorzeczenia pod adresem sądu i rządu itd. Płacz matek mięszał się z gorżkiemi słowami pogardy, rzuconemi zdrajcom przez resztę skazanych. Zaraz po ogłoszeniu wyroków matki wysłały depeszę do Spały, gdzie właśnie car przebywał.

Wziętych na cmentarzu na Brudnie podczas manifestacyjnego pogrzebu Węgrzynowicza robotników i robotnice powoli zaczynają wypuszczać. Wyroki brzmią : trzyletnie osiedlenie poza granicami Warszawy. Wśród aresztowanych było wielu nieuświadomionych jeszcze gruntownie, młodych robotników. Pobyt w forcie Aleksiejewskim wpłynął na nich bardzo dodatnio, ponieważ starsi towarzysze, korzystając z wolnego czasu, zajęli się systematycznymi wykładami zasad socyalizmu. Solidarność robotnicza imponowała żołnierzom, oficerów zaś doprowadzała do rozpaczy. Kiedy np. oficer witał więźniów zwykłem sołdackiem pozdrowieniem „zdarowo rebiata !“, odpowiadano mu chórem : „Nich żyje sprawa robotnicza !“ Do późnej nocy w forcie rozlegają się dźwięki „Czerwonego Sztandaru“, „Warszawianki“ itd. Na murach fortu wymalowano czerwone sztandary, a na kibitce, odwożącej aresztantów, wyryto : „Niech żyje sprawa robotnicza ! Precz z tyranami !“.

Jedzenie było tak marne, iż więźniowie zamanifestowali swe niezadowolenie tem, że wylano cały kocioł zupy na ziemię. Oficer, rozzłoszczony takiem zachowaniem się robotników, zagroził im, że pocznie strzelać. Więźniowie natychmiast stanęli w szeregu i zakomenderowali : „raz, dwa, trzy !“ Oficer jak niepyszny zawrócił na pięcie i wyszedł.

Pogrzeby manifestacyjne, coraz to mnożące się (niedawno odbył się taki pogrzeb w Żyrardowie), zmuszają policyę do przedsiębrania nadzwyczajnych śródków zapobiegania tym objawom wzrostu solidarności naszych robotników. Obecnie, jak tylko policya podejrzewa, że zmarły robotnik mógł mieć coś wspólnego z socyalizmem, zabrania go chować w dzień i wyprawia mu pogrzeb w nocy, przy świetle pochodni. Odbyło się już kilka takich pogrzebów. W Żyrardowie zabroniono wystawiać wieka trumny przed mieszkaniem robotników.

W połowie września znowu się posypały jak z rogu obfitości aresztowania, dotykając tym razem głównie inteligencyę. W Rudzie Guzowskiej wzięto inżyniera Adolfa. W Warszawie ofiarą razzyi żandarmskiej padli : literat

Smaczyński, maszynista Tarnowicz, inżynierowie Dominikowski, Wojciechowski i Suraski, dentysta, a zarazem literat Słoński, dyrektor fabryki Rudzkiego Łatkiewicz, urzędnik banka dyskontowego Czarnowski i kilku innych jeszcze osób. Po za tem odbył się szereg rewizyi, między innemi u literata Stanisława Pieńkowskiego.

Y.

* * *

Fort Aleksieja, wrzesień).*

...W forcie Aleksieja przyjęła nas władza wojskowa, złożona z kilku jakichś pasibrzuchów z 36 sołdatami. Tutaj siedzimy razem wszyscy mężczyzni w liczbie 116 w jednej celi, bardzo dużej, o 8 oknach weneckich bez krat a kobiety (24) w jednej celi o jednem oknie na podwórko, a dwóch małych na ulicę,

Za posłanie służy nam słoma na podłodze, zmieniana co 10 dni. Życie mamy takie, jakie dostają żołnierze t. j. rano około 10-ej, a czasami i później chleb razowy i może 14 łutów mięsa wołowego na patyczku, bo przez tak grube mury cywilizacya nie doszła. Koło godz. 12—1 p. p. obiad. Dostajemy zupę złożoną z kaszy i wody, a drugi raz z kapusty i wody (a w obydwóch raczej z czystej wody). Na wieczór toż samo. Swoboda zależała od oficera, który, jak chciał, to nas puszczał na dwór, na powietrze, przyjmował jedzenie z ulicy, dawał widzenie bez biletu na to komendant, i pozwalał komunikować się z kobietami, a jak nie, to tego wszystkiego nie robił, i tylko po 5—10 osób do ustępu puszczał, przeciwko czemu myśmy zaprotestowali, w tak dosadny i nieprzyjemny dla naczalstwa sposób, że dyżurny kazał nas wypuszczać po 15—25 ludzi na raz.

W pierwszą środę nie chcieli nam dać mięsa, mówiąc, że post, nacośmy odpowiedzieli nieprzyjmowaniem pożywienia więziennego przez cały dzień. Wówczas nasze wymagania zadowolniono. Jeden oficer za swoje zachowywanie się został tak wygwizdany wobec reszty wojska, że słychać było w całej cytadeli jak mówił nam jeden sołdat, i żaden następny oficer nie chciał nabrać się wstydu, więc łagodniej z nami postępował. Jeden oficer, kolega wygwizdanego, odkrył, że w rozporządzeniu plac-komendanta zabrania się nieść aresztowanym wodę; ci sami mają chodzić po wodę. Przyszła mu fantazya, żebyśmy nosili wodę cebrem (który ma 5 wiader) z dość odległego dworca kolei Nadwiślańskiej; myśmy odpowiedzieli, że wody nie nosiliśmy i nosić nie będziemy i nie chcieliśmy wziąć znowuż pożywienia przez 2 dni, ale widzimy że to nie pomogło, więc dalej się puszczać na fortele i udawać chorych. Na trzeci dzień przyszedł do nas nowy oficer i oświadczył, że wybierze z nas czterech chłopów zdrowych i siłą każe przynieść wody. My na to mówimy: niech sprobuje. Kazał więc sołdatom wybierać, a co wybrał i chciał wyciągnąć na dwór, my wszyscy do kupy, wołamy jak jeden: nie damy! nie damy! On, słysząc taki rumor, zawołał 15 sołdatów z nabitymi karabinami, sam wyjął szablę i mówi: „Jesli wy nie daditie czetyrioch ludiej cztob poszli za wodoj, to ja w was strelat' budu i zarublu szaszkoj", na co jeden z towarzyszy podszedł do niego i mówi: „najwyżej to na muchy, ale nie na nas, bo my bezbronni, a do bezbronnego narodu oficer nie ma prawa wyjmować szabli". Gdy to usłyszał, szablę do pochwy schował i do drzwi prędko się udał, aż z pośpiechu zgubił rękawiczki. Na czwarty dzień dostaliśmy wodę, przynieśli ją żołnierze. Podczas tego strejku zaprowadziliśmy „komunistyczny porządek" wraz z żydami — to jest, że wszelką żywność, która nam dostawiono z ulicy, składaliśmy w jedno miejsce i równo się wszystkich obdzielało. Nawet płynem, który był, jak herbata, kawa, kwas.

*) List ten otrzymaliśmy od jednego z towarzyszy, wziętych podczas manifestacyi na pogrzebie tow. Węgrzynowicza. (*Red.*)

Żadne starsze naczalstwo nas nie odwiedza, a różni oficerowie, którzy podług swego widzimisię chcą nami rządzić, nie wiele wskórają, bo my, trzymając się solidarnie, walczymy prawie codziennie z nimi i krzywdy dać sobie nie pozwalamy.

Więzień

* *
*

Łódź, wrzesień

Energia „starszego piekarza“ wysila się na coraz to nowe pomysły; obecnie wydano parę nowych rozporządzeń co do stróżów. Wszystkowiedzący Chrzanowski orzekł, że dojście do wieku lat 15 jest jednocześnie patentem na socyalizm, przeto rozkazał, ażeby o każdym wypadku śmierci człowieka starszego ponad lat 15 dawano znać policyi, która obowiązana jest delegować „czynów“ dla kontroli. Nowa komisya pogrzebowa energicznie wzięła się do roboty i spędza ludzi z ulicy, żeby pogrzebom się nie przypatrywali. Stróżom polecono również meldować niezwłocznie nazwiska lokatorów, u których zbiera się po parę osób, i w tym celu pytać, do kogo się wchodzący w bramę udaje; w razie odpowiedzi wymijającej sprawdzić osobiście Biedni stróże, wymyślani przez publiczność, stosują się do wymagań policyi.

Opowiadają tu u nas, że Chrzanowski z Łodzi ustąpi. Powodem zbyt namiętne nadużycia i skłonność do łapówek.

Sprawa uczniowska na ukończeniu. Okazuje się, że młodzież postępowała dość niewyraźnie, a dwóch zasłużyło na pochwałę Gnoińskiego, który nazwał ich przyzwoitymi ludźmi. Rezultaty badań żadne, bo i czegóż właściwie fijoły chcieli?

Nasze duchowieństwo występuje coraz marniej i widocznie podług ściśle nakreślonej dyrektywy: z ambon coraz częściej padają wymyślania na uświadomionych robotników, a spowiedź — to obecnie badanie żandarmskie Ksiądz Laudowicz, o którym pisał „Robotnik“, otwarcie namawia do denuncyowania socyalistów, a za pomocnika używa swego organisty. Opublikowanie jego niemoralnego życia natchnęło go zemstą.

W bieżącym miesiącu odbyły się u nas rewizye i aresztowania wśród klasy robotniczej, to też między fiołami daje się zauważyć ożywienie; zapewne łudzą się nadzieją, że natrafili na ważne sprawy. Niech się zadowolnią złudzeniami....

W Pabianicach władze policyjne chciały urządzić wielki proces: aresztowano paru obywateli, których denuncyował ze względów osobistych szpieg fachowy. Przyjechały wyższe władze z gotowym rozkazem aresztowania i, jakkolwiek nie znaleziono dowodów, rzekomo winnych pociągnięto do odpowiedzialności.

Naczelnik Swiaskin, jak i strażnicy, przy lada okazyi dobywają pałaszy ich brutalne postępowanie wywołuje „samoobronę“: towarzysze sypią tym panom piasek w oczy, a potem tłuką ile się zmieści.

Przy poświęcaniu kościoła ksiądz z Łasku wypowiedział mowę, w której nazwał kościół naturalnem narzędziem do utrzymywania w karbach posłuszeństwa „braci robotniczef“ i cieszył się, że fabrykanci rozumieją swój interes, wspierając świątynie innych wyznań nawet. Należy nadmienić, że właściciele domów, ażeby pokryć „ofiary na kościół“ podnieśli robotnikom komorne, choć fabryki ściągały podatek na budowę bezpośrodnio z zarobków robotniczych.

Robak.

ODEZWA

delegacyi polskiej

międzynarodowego kongresu w Paryżu.

Zwyczajem, szczęśliwie zapoczątkowanym na kongresie międzynarodowym londyńskim w r. 1896, my, delegaci polscy z trzech zaborów na kongres paryski, postanowiliśmy skorzystać ze sposobności, aby, omówiwszy wspólnie stan i potrzeby naszego ruchu, zwrócić się do polskiej klasy pracującej, gdziekolwiek się znajduje, pracuje i walczy, z zachętą i wezwaniem do solidarności i wytrwałości. Jesteśmy bowiem blizcy sobie i nierozerwalnie z sobą złączeni; jeśli proletaryat całej Europy, całego świata, aż do Argentyny, Ameryki i Japonii, ma wspólne interesy i ideały i daje im wyraz na kongresie międzynarodowym, to o ileż ściślejszą i serdeczniejszą być musi łączność między ludem pracującym, mającym wspólną mowę i ducha, a rozerwanym na trzy kawały sztucznie tylko, wskutek gwałtu i niesprawiedliwości, przeciw którym protestować nie przestaniemy, aż zdobędziemy nanowo jedność i niepodległość ojczyzny! Tem zaś ściślejsza jest nasza łączność, że w tych czasach zupełnego trójlojalnego spodlenia się szlachty i burżuazyi przed obcymi rządami, które jej zapewniają bezpieczne wyzyskiwanie pracy ludu, a trwożliwości i chwiejności klas średnich, my jedni, socyaliści, my, robotnicy polscy, czynem, a nie frazesami tylko, stwierdzamy swą wierność rewolucyjnemu ideałowi Polski dla ludu i przez lud.

Słowa otuchy i wiary powiemy wam najwpierw, towarzysze z Polski całej; mamy bowiem prawo do tego, aby być dumnymi z postępów socyalizmu polskiego od zebrania delegacyi polskiej w r. 1896. Spojrzcie, co zrobiono pod uciskiem carskim dzięki niezmordowanej i nieustraszonej działalności Polskiej Partyi Socyalistycznej. Uprzytomnijcie sobie te setki tysięcy wydawnictw, sprowadzanych z takiem niebezpieczeństwem z zagranicy i wydawanych potajemnie w kraju, to nieprzerwane wychodzenie i rozpowszechnianie organu partyi „Robotnika“ mimo peryodycznych aresztowań i ciosów; te manifestacye masowe, przedsiębrane pod hasłem klasowej świadomości i strząśnięcia jarzma carskiego, to budzenie się ruchu zarówno w przyduszonych dawniej centrach przemysłowyh, jak w zakątkach i po wsiach nawet, to zdemaskowanie

haniebnej ugody, te liczne strejki o polepszenie bytu lub w obronie ludzkich praw i godności robotników — a zrozumiecie, czemu strach wstąpił w rząd carski, czemu próbuje on znowu steroryzować proletaryat i społeczeństwo polskie, czemu padły kule w Dąbrowie Górniczej, a teraz — może staną szubienice... Ale choćby nawet znowu, jak niegdyś, śmiercią i katorgą przyszło dać świadectwo prawdzie, choćby w jeszcze cięższych przyszło pracować warunkach, my wiemy, że towarzysze robotnicy w zaborze rosyjskim nie cofną się, zastraszyć się ani zniechęcić się nie dadzą, lecz, skupiając się wszyscy koło jasnego sztandaru Polskiej Partyi Socyalistycznej, prowadzić będą dalej swą podziwu godną, groźną dla wrogów naszych pracę.

Przed czterma laty wzywała delegacya polska robotników, aby, korzystając z tych drobnych nawet praw i swobód, wymuszonych na zmurszałym rządzie habsburskim, zdobyć dla całego narodu polskiego mównicę publiczną w parlamencie austryackim. Nie zawiodła nadzieja, położona w ludzie polskim. Pomimo niesłychanego ucisku i prześladowań, chłopi i robotnicy krakowscy i lwowscy utworzyli ten wyłom w panowaniu stańczyków. Na tem doniosłem i odpowiedzialnem stanowisku socyalizm polski upominał się o krzywdy ludu, wyciągał na światło dzienne i piętnował bezkarne dotąd nadużycia pańskie, i bronił praw narodowości i postępu swobód politycznych. Nie pomogły zatrute pociski oszczerstwa, obłudne objawy niby - narodowego oburzenia szlachty, księży i mieszczaństwa: co jest jeszcze w tem ostatniem nie zgangrenowanego, zaczyna socyalistów prosić o pomoc przeciw duszącemu panowaniu przywileju i ciemnoty. Chwieje się to panowanie. Mamy dziś przeciw niemu skuteczną broń: dziennik socyalistyczny „Naprzód", wspólny organ całego proletaryatu polskiego, któremu już upaść ku uciesze wrogów nie damy, dać nie możemy. Nie słabnijmy w nacisku, nie ustawajmy w pracy organizowania, uświadamiania, w walce na wszystkich polach, a runie ono wreszcie, a otworzą nam się wrota sejmu polskiego, zamknięte dotąd dla polskiego ludu, a prawo wyborcze powszechne do sejmu zarówno jak do parlamentu centralnego spotęguje wpływ nasz na postęp społeczny i narodowy!

Tylko zabór pruski, niestety, nie może poszczycić się znaczniejszymi postępami ruchu robotniczego! Nieszczęśliwy lud górnoszlaski i poznański jęczy pod coraz straszniejszym uciskiem właścicieli ziemskich, kapitalistów i rządu najezdniczego — a utrzymywany przez duchowieństwo w niewoli duchowej, nie zrywa się dotąd do energicznej walki o bardziej ludzkie życie! A przecie ta szlachta i to duchowieństwo, którym dotąd nieszczęśliwy lud nasz jest tak posłuszny, wykazały niezbicie, że nie umieją ludu tego uchronić nawet od najstraszniejszego, najniesprawiedliwszego prześladowania języka ojczystego; a przecie mniemani ludowcy dowiedli aż zanadto, że są tylko przebranymi sługami pańskimi i gotowi bić pokłony nawet przed carem. Próby, robione przez towarzyszy niemieckich w celu zorganizowania ruchu robotniczego między polskim ludem, choć ożywione dobremi chęciami, nie przynoszą wielkich rezultatów i przynieść ich nie mogą, bo do poruszenia polskiego ludu pracującego nie tylko język polski znać trzeba, ale zżyć

się duchowo z tym ludem samym. Czas więc wielki, aby towarzysze polscy w zaborze pruskim którzy zdołali zorganizować się w miastach niemieckich i, każdy przyzna, zrobili już wiele wysiłków w kierunku wzbudzenia ruchu w Poznańskiem i na Szląsku — czas, aby, nie zrywając ani na chwilę niezbędnej solidarności z towarzyszami niemieckimi, zdobyli się na prawdziwe przeniesienie samodzielnej roboty socyalistycznej polskiej w sam środek polskich mas roboczych, przedsięwzięli wśród nich wytrwałą, ciągłą agitacyę i propagandę i zrównali je w postępach z towarzyszami z za kordonów sąsiednich.

Wszyscy socyaliści polscy, z całego kraju i z emigracyi, zjednoczeni w jednej myśli i w jednej pracy będą się starali być w tem pomocni. Na razie jednak stoi przed nami wszystkimi inne wspólne a bezpośrednie zadanie. Rząd austryacki, nie zdolny do zaspokojenia potrzeb narodowościowych, bo nie chcący wolności i równouprawnienia politycznego ludu, rozwiązał parlament i rozpisał nowe wybory. Wrogowie ludu i narodu czyhają już na to, aby odebrać nam placówki parlamentarne, z których, ostrzeliwając ich, tak zachwialiśmy ich twierdzę. Lecz zawiodą te wraże nadzieje! Cały proletaryat polski nie pozwoli na to. Jak przed czterema laty, zewsząd, nie tylko z Galicyi i Szląska, ale i z kopalń Dąbrowy, z fabryk łódzkich, z warsztatów warszawskich i wileńskich, z zaboru pruskiego, emigracyi i dalekiej nawet Ameryki, gdzie zagnani nędzą chłopi i robotnicy polscy nie zrywają łączności z ojczyzną, posypią się ciężko zapracowane miedziaki, a poświęcenia i wysiłki wynagrodzi stokrotnie tryumf, który odniesiemy za parę miesięcy, kiedy nie dwóch a więcej może posłów polskich poszlemy do Wiednia, aby tam — a mamy nadzieję, że wkrótce i w sejmie lwowskim — głosili żywotność polskiego ludu i walką z wszelkim uciskiem, wyzyskiem, ciemnotą i reakcyą przygotowywali wszechstronne jego wyzwolenie polityczne i ekonomiczne.

Jak w tej doniosłej sprawie, tak we wszystkich innych, solidarnym i zjednoczonym jest i pozostanie cały polski proletaryat. Cel nasz i taktyka są jasne i proste; nie zaciemni ich żadna zła wola. Wyzwolenie ekonomiczne, polityczne i narodowe — to dla nas trzy strony jednego i tego samego ruchu, które warunkują się nawzajem i z których żadnej nie wyrzeczemy się nigdy, ani nie zaniedbamy za żadną cenę. Budząc do życia ludzkiego szerokie masy, stoimy tem samem na gruncie narodowym; dążąc do zupełnej wolności narodu, jesteśmy tem samem solidarni z robotnikami wszystkich krajów i narodów. Wyciągamy bratnią dłoń do towarzyszy austryackich, niemieckich, rosyjskich, którzy uznają nasze prawa; uznajemy prawa i potrzeby i szukamy bratniej dłoni rusinów, litwinów, których życie historya ściślej z naszem splotła.

W łonie delegacyi witamy tym razem po raz pierwszy — choć nie pierwszy raz w naszym ruchu — przedstawicieli robotników-żydów z zaboru rosyjskiego, idących ręka w rękę z polskim wbrew wszelkim podszeptom. Ruch nasz, ruch Polskiej Partyi Socyalistycznej w trzech zaborach, oparty na masach, dość jest szeroki na to, aby pomieścić wszystkich, co szczerze pragną pracować dla sprawy robo-

tniczej i nie oddzielają wyzwolenia ekonomicznego i politycznego od narodowego, ni narodowego od politycznego i ekonomicznego. Wiemy też, że polska klasa robotnicza odepchnie wszędzie tych, coby tę jedność jej walki klasowej chcieli naruszać, nie pozwoli pod żadnym pretekstem na cofanie ruchu do okresu grup i grupek, że nic już i nigdy nie złamie zdobytej raz na zawsze jedności organizacyjnej, niezbędnej wszędzie, stokroć niezbędniejszej pod caratem, i że zgodnie pójdziemy przez codzienną zmudną pracę, gotowi zresztą do walki na wszystkich polach, do świetlanego naszego celu: wolnej Polski socyalistycznej!

Niech żyje międzynarodowa rewolucya socyalna!
Niech żyje wolny polski lud!

Paryż, 27 września 1900 r.

H. Bassel, T. Bobrowski, J. Daszyński, G. Erlichówna, E. Esse, H. Feuer, J. Haase, K. Herman, B. Limanowski, Z. Nacht, Matuszek, L. Płochocki, W. Zadźwiński.

Pokwitowania

KOMITETU ZAGRANICZNEGO P. P. S.

za czas od 1 września do 15 października r. b.

Na fundusz partyjny: Opłaty członkowskie: Brun.: M. Brod. — 3 m., W. W. — 2 m. 40 fen.; Mi. Ad. Mul. — 3 m.; S. n. 2 — 42 m. 95 fen.; Paryż: „Wolność“ — 26 fr.; S. n. 1 — 16 m.; J. Łęski — 30 złr.; Berl. „Światło“ — 8 m.; A. B. z Pur. — 2 sh.; Londyn Oddział — 15 sh. 7 p.; W. Kiedrzyński — 18 sh. 11 p.; C. S. Świt: — 2 m. 40 f.; New-York Oddział „Związek Pomocy“ — 4 dol. Składki nadzwyczajne: Mittw. na oświatę ludową: Kasa pożyczkowa 51 m. 10 fen., b. Kasa tow. — 26 m. 87 fen., za rysunek — 3 m.; Lista na fund. agit Nr 9 — 12 m.; T. lista na fund. agit. Nr 11 — 11 złr.; Al. Wroński — 4 f. szterl.; Par.: za kotlet — 2 fr., od s. d. — 30 c., od niezależnej — 20 c., za niegrzeczność — 20 c.; Cot. Nr 43, 44 i 45 oteryi zuryskiej — 4 m.; Wintert. l. na fund. agit. Nr. 4 — 6 fr.

Na fundusz jubileuszowy B. Limanowskiego: Mi. Ad. Mul. — 5 m.

Na codzienny „Naprzód“: Al. Wroński — 8 fun. szterl. 5 sh.

Na fundusz wyborczy galicyjski: Londyn: E. Chełmowska — 10 sh., Oddział — 1 f. szterl. 8 p.

Na więźniów politycznych: Mittw. — 2 m. 70 fen.; A. B. z Pur. — 2 sh.; Newark T. Kulawski zebrane na pikniku krakusów — 1 dol. 16 c.

* * *

Sprostowanie. „Związek Pomocy P. P S.“ w New-Yorku zaznacza, że 29 dol., pokwitowane w Nr 8 są przeznaczone *specyalnie dla warszawskich* więźniów politycznych.

Od Redakcyi

Tow. —ska. Pierwszy przyczynek otrzymany. Prosimy e dalsze.
Tow. St. St. Kor. i 2 p. otrzymane.

Wszystkich współpracowników, których artykuły nie zostały jeszcze wydrukowane, prosimy o cierpliwość.

Wyjście Nr niniejszego zostało opóźnione wskutek czasowej nieobecności redaktora w Londynie.

Od Nr. 10 powiększamy objętość Nr.Nr. „Przedświtu“ o 8 stron, co nam da możność rozszerzenia pewnych działów pisma. Cena „Przedświtu“ pozostaje ta sama, mimo, że czytelnicy otrzymają pismo, powiększone o 96 stron rocznie, to znaczy o objętość *trzech* dzisiejszych NrNr. „Przedświtu“. Spodziewamy się, że wobec tego towarzysze będą się starali o jaknajszersze rozpowszechnienie naszego pisma.

Printed and published by J. Kaniowski, 67 Colworth Road, Leytonstone London N. E.